

# Moja „kariera” zawodowa – część I

## Wstęp

### Gdynia

Pracę zawodową na etacie rozpocząłem w październiku 1958 r. ale raczej wcześniej uczyłem się, jak zarabiać.

Jako 11-12 letni chłopak, chodząc jeszcze do szkoły powszechnej w Gdyni (lata 1945-49), z bratem Włodkiem „dorabialiśmy” sobie tworząc w naszym mieszkaniu na ul. Strzelców (dzisiaj Gen.Maczka) 3/1 bibliotekę, z której książki wypożyczaliśmy kolegom/koleżankom za drobną opłatą. Wszystkie książki ( a było ich ze 100) były jednolicie obłożone, na zewnątrz ponumerowane stemplami i skatalogowane. Wzorowaliśmy się oczywiście na naszej bibliotece szkolnej. Od czasu do czasu, korzystając z 8-mm projektora naszego kolegi, Genka Kausa i z jego skromnej filmoteki, organizowaliśmy w naszym mieszkaniu pokazy filmowe, oczywiście za drobną opłatą.

Wkrótce zorientowałem się, że można trochę zarobić sprzedając gazety. W dodatku gazeciarze nie musieli opłacać biletu trolejbusowego, a więc kupowałem kilka gazet w kiosku na Placu Kaszubskim i sprzedawałem je, oczywiście z pewnym narzutem, w trolejbusach. Łączyłem więc przyjemne z pożytecznym.

Przed świętami bożonarodzeniowymi wycinaliśmy z bratem w lesie choinki i sprzedawaliśmy je na gdyńskich ulicach. W owych czasach nie było takiej podaży choinek jak dzisiaj. Trzeba było „zorganizować” je sobie samemu – najlepiej w pobliskim lesie. Lasy jakoś to wytrzymały i do dzisiaj otaczają Gdynię.

Na prośbę Ojca, który był w Gdyni znacznym przedsiębiorcą handlowym i miał dostęp do różnych, czasami dziwnych, okazjonalnych towarów, rozprawdzałem w gdyńskich kioskach np. pralinki czekoladowe (takie z białym nalotem, a więc przeleżałe), szczoteczki do zębów (sic !) – wszystko sprzedawałem bezproblemowo i żaden kioskarz nie pytał się, ani nie dziwił, że towar rozprawdza taki mały brzdąc, bo zawsze byłem raczej mały i zacząłem rosnać dopiero od 15go roku życia.

### Łódź

Do Łodzi przeprowadziliśmy się w roku 1950 dosłownie uciekając z Gdyni, gdzie nałożono na Ojca 7-milionowy domiar (ok. 280 dobrych miesięcznych pensji !). Ojciec musiał zlikwidować swoje przedsiębiorstwo, sprzedać wszystko, co miało jakąś wartość i rozpocząć pracę na „posadzie”, gdzie jednak co miesiąc potracano mu z pensji znaczną kwotę na poczet spłaty domiaru. Nawet nasza Mama, która po wojnie do 1948 r. nie pracowała, bo nie musiała, zaczęła pracować w swoim przedwojennym i wojennym zawodzie: korespondentki chyba w PLO (Polskie Linie Oceaniczne) w językach obcych (niemiecki, angielski, francuski) i stenografki. Rodzice postanowili z Gdyni zniknąć: zamienili nasze w owym czasie komfortowe trypokojowe mieszkanie na wysokim parterze na dwupokojowe mieszkanie (bez łazienki!) na 3. piętrze w starym budynku, przy jednej ze znaczniejszych ulic – Obr.Stalingradu, przed Wojną – 11.listopada, dzisiaj – Legionów 75. Ulicą tą przejeżdżało kilka linii tramwajowych, a w czasie przejazdu tramwaju cały dom się trząsał ! Oboje rodzice pracowali: Mama w centrali handlu zagranicznego „Skórimpex”, Tata – różnie: początkowo jako prywatny przedsiębiorca budowlany, potem także na państwowym chlebie.

Urząd Skarbowy stracił ślad po Ojcu i naszej rodzinie. W owym czasie było to jeszcze możliwe !

W końcowym okresie zamieszkiwania przez nas Gdyni, Ojciec otworzył w Świdwinie (blisko Połczyzna Zdroju) zakład produkujący różne wyroby laboratoryjne i bombki choinkowe. Fabryczka działała w pomieszczeniach jednego z tamtejszych domów przy głównej ulicy Świdwina i Ojciec zatrudniał w niej kilkanaście osób: wykwalifikowanych dmuchaczy szkła (potrafili wykonywać ze szkła prawdziwe cuda !), pracownice, które wlewały do bombek azotan srebra posrebrzający je od środka, zanurzając je w farbach nadawały bombkom różne kolory, malowały na bombkach różne motywy i w końcu pakowały wyroby do odpowiednich kartonów. Kiedyś, tylko raz, z mamą i bratem Włodkiem odwiedziliśmy Tatę w Świdwinie i spędziliśmy tam kilka dni podglądając pracę pracowników we wszystkich cyklach produkcyjnych i pod okiem fachowców próbując samemu wydmuchiwać bombki. Niezbyt nam to wychodziło, ale na Gwiazdkę mieliśmy w Gdyni, a potem w Łodzi chyba najpiękniej udekorowaną choinkę, bo pracownicy Taty wykonywali różne bombki, także figurowe, specjalnie dla naszej rodziny, nawet z życzeniami dla nas ! Jak Ojciec utworzył, wzgl. przejął ten zakład – nie wiem. Nigdy Go o to nie pytaliśmy. W końcu jednak musiał ten zakład zlikwidować, bo znów groził mu domiar.

Do Łodzi przywiózł trochę sprzętu, przede wszystkim palniki gazowe i otworzyliśmy w naszym skromnym mieszkaniu – w kuchni – dwupalnikową (oczywiście nielegalną) wytwornię szklanych cygarniczek (tzw. fifek) – w owym czasie bardzo popularnych. Do palników podłączyliśmy nadmuch powietrzny przewodami gumowymi z odkurzacza – przedmiotu w owych czasach unikalnego, a my mieliśmy taki (Electrolux), gdyż Rodzice kupili go od wyjeżdżających z Polski (Sopotu) Niemców. W domu byłem sam (nie licząc brata – bobasa, Jana), gdyż brat Włodek uczył się w technikum ogrodnictwa w Pruszczu Gdańskim, a więc daleko od domu. Szybko nauczyłem się produkować „fifki”. Ojciec kupował w znanych sobie miejscach wiązki rurek szklanych, które w domu cięliśmy nożem na odpowiednią długość i potem samemu lub wraz z Tatą „produkowaliśmy” te fifki. Z arkuszy kartonów kupowanych w sklepach papierniczych wycinałem i składałem pudełka na 100 fifek, pakowałem je do nich i osobiście (wyłącznie ja) rozprawadzałem je po kioskach w cenie, która satysfakcjonowała nas, ale także kioskarzy. Zbyt mieliśmy dobry. Fifki przynosiły rodzinie znaczny dochód i były także wspinałym źródłem mojego „kieszonkowego”. Doszedłem do takiej wprawy, że 100 sztuk wykonywałem w ciągu ½ godziny (!). Wieczorem po szkole potrafiłem wyprodukować do 500 fifek ! Oprócz tradycyjnych fifek produkowałem też fifki fantazyjne – w kształcie jakby fajki, których produkcja trwała trochę dłużej i wiązała się z większą ilością odpadów, ale też sprzedawało się je drożej. W każdym razie w domu raczej nie było bogactwa, ale też nie było biedy.

Gdy zetknąłem się z igłami tkackimi (w kształcie litery L) wpadłem na pomysł produkowania z nich małych mieczyków z gardą wykonaną z kolorowych rurek plastikowej izolacji przewodów elektrycznych. Dwa mieczyki wpiąłem sobie na krzyż do klapy kołnierza marynarki i od razu spotkały się one ze znacznym zainteresowaniem kolegów i wkrótce sprzedałem pewną ich ilość.

## **Poznań**

W Poznaniu spędziłem 5 lat studiów (1953-58). Studiowałem na fakultecie germanistycznym. Znałem dobrze niemiecki, jako tako angielski, regularnie uczęszczałem na lektorat j. szwedzkiego prowadzony przez pasjonata tego języka, dra Kobyłańskiego, późniejszego znanego i cenionego profesora na anglistyce. Później, w różnych okresach studiów uczęszczałem na lektoraty: włoski, francuski i czeski. Naukę tego ostatniego kontynuowałem na lektoracie w Ośrodku Kultury Czechosłowackiej w Warszawie. Języki

były moim hobby. Mieszkałem w domu akademickim „Hanki Sawickiej” - około 150 m za operą poznańską. Dostawałem 200 zł miesięcznie od Ojca, a po pierwszym roku, aż do końca studiów dochodziło do tego stypendium za dobrą naukę. Starczyło na opłacenie akademika, obiadu w stołówce akademika, na tramwajowy bilet miesięczny i niewiele zostawało na śniadania, kolacje, no i przyjemności. Trzeba było sobie radzić. Przyjmowałem więc różne dziwne zlecenia ze Spółdzielni Studenckiej: a to jakieś roboty wyładunkowe, a to regularne przynoszenie z piwnicy węgla jakiejś starszej pani, ale najbardziej utkwiła mi w pamięci praca na stoisku promocyjnym jakiejś poznańskiej firmy w domu towarowym, tzw. Okrąglaku, gdzie demonstrując sposób stosowania reklamowałem jej dwa produkty, których nazwy pamiętam do dzisiaj: Viz oraz Nuclean (!). Jeden to środek do czyszczenia butów zamszowych i nubukowych, drugi – do wywabiania plam na materiałach. Wynagrodzeniem była prowizja od sprzedanego towaru. Nie zapomnę, jak kiedyś, jakaś pani zachęcona moimi demonstracjami przyniosła mi ciemną marynarkę od garnituru, która na plecach miała jeszcze ciemniejszą tłusta plamę, od zalania jej rosółem na weselu. Wziąłem się do czyszczenia zgodnie z instrukcją i potem z czarnej plamy zrobiła się...biała plama ! Pozostało mi zachęcać ją do dalszego czyszczenia w domu naszym wspaniałym środkiem. Szybko z tej pracy zrezygnowałem.

### *ŚWIATOWY FESTIWAL MŁODZIEŻY w Warszawie*

Latem 1955 r. dr Kobyłański (po latach prof.dr) wytypował mnie w charakterze tłumacza j.szwedzkiego na Światowy Festiwal Młodzieży w W-wie. Byłem tłumaczem grupy lewicowej młodzieży szwedzkiej z Laponii (z Kiruny, Abisko). Prawdę mówiąc, przy tej grupie to ja dopiero uczyłem się żywego języka szwedzkiego. Rozumiałem pisany język szwedzki (zresztą także norweski), potrafiłem formułować proste zdania po szwedzku, tylko, że.....nic nie rozumiałem, co do mnie po szwedzku mówiono. Na szczęście większość moich szwedzkich kolegów i koleżanek znała angielski i tylko dzięki temu byłem dla nich przydatny. Po dziesiątkach lat moja znajomość szwedzkiego pozostała na poziomie z roku 1955. Przekonałem się o tym w czasie kilku pobytów w Szwecji, ostatnio w Sztokholmie w maju 2008 r. Słowo pisane doskonale rozumiem, potrafię się po szwedzku wypowiedzieć, ale nadal mam problemy z rozumieniem żywej mowy szwedzkiej, zresztą także norweskiej.

Na festiwalu w W-wie nawiązałem z „moimi” Szwedami przyjaźnię, potem długo korespondowałem z moją szwedzką sympatią, Moniką Lundgren z Abisko i z działaczem komunistycznym z Kiruny, Hansem (Hasse) Lundmark.

Festiwal młodzieży w W-wie to raczej nie była praca, a czysta przyjemność. N.b. festiwal miał ogromny wpływ na zmianę obyczajowości wśród młodzieży, przynajmniej tej warszawskiej i na modę. Od festiwalu rozpoczęła się w Polsce moda na dzinsy ! W czasie festiwalu nastąpiło otwarcie Pałacu Kultury i Nauki, który oczywiście zwiedzaliśmy i po raz pierwszy z tarasu widokowego podziwiałem panoramę W-wy.

No, ale nie o przyjemnościach miałem wspominać, a o pracy.

### *MIĘDZYNARODOWE TARGI POZNAŃSKIE*

Pierwszą moją poważną pracą w czasie studiów była praca na Międzynarodowych Targach Poznańskich (MTP), które po kilkuletniej przerwie (na ostatnich w 1950 r. byłem z Mamą !) miały odbyć się w czerwcu 1956 r. Postanowiłem zrobić wszystko, by na tych targach pracować.

Moim wielkim atutem była znajomość niemieckiego i angielskiego, a w owych czasach, gdy kraj nasz odcięty był od świata tzw. „żelazną kurtyną”, ze znajomością języków nie było w

Polsce najlepiej. Udałem się więc do Działu Kadr MTP, a te skierowały mnie do Dyrektora pionu zagranicznego, p. Jaśkowiaka. Zrobił mi ad hoc autentyczny egzamin ze znajomości niemieckiego i angielskiego, które sam także dobrze znał i...przyjął mnie na okres targów na stanowisko kierownika hali, tzw. halmajstra. Miałem wtenczas dokładnie 20 lat i byłem najmłodszym halmajstrom na targach. O ile sobie przypominam, targi te, rozpoczynając się w połowie czerwca, miały trwać aż dwa tygodnie. Wszystkie następne targi trwały już tylko tydzień i rozpoczynały się w drugim tygodniu czerwca, a więc kończyły się w połowie czerwca.

Mnie i mojemu znacznie starszemu zmiennikowi przydzielono hale 4, 5 i 6 (wzdłuż ul. Głogowskiej i narożna hala pomiędzy ul. Głogowską i Grunwaldzką) wraz z przylegającą powierzchnią odkrytą. Do pracy przystąpiliśmy ze znacznym wyprzedzeniem otwarcia targów i nadzorowaliśmy także przez pewien czas likwidację stoisk już po zamknięciu imprezy. Dokładnych dat już nie pamiętam, ale pracowałem na MTP gdzieś od początku czerwca do ok. 10 lipca. Moje biuro jako halmajstra mieściło się w przejściu pomiędzy halą 5 i 6, z oknem na ul. Głogowską.

Miałem w swoich halach ekspozycje RF Niemiec, W. Brytanii, Włoch i Szwecji. Na terenie otwartym pamiętam duże stoisko Mercedesa.

Na targach poczyniono wiele zmian architektonicznych. M.in. gruntownie przebudowano pawilon centralny – tzw. okrągłak, z ciężkiej konstrukcji na lekką konstrukcję z centralną „iglicą” która przez wiele następnych lat była symbolem MTP. Pobudowano też wiele nowych pawilonów. Wszystko kończono w „ostatniej chwili”. Byłem przekonany, że będzie wiele niedoróbek i że po prostu nie zdąży się z wykonawstwem szeregu prac tak w hali 5, ale także np. z wykończeniem terenów zielonych. Prace trwały całą noc i w chwili uroczystego otwarcia targów przez premiera Cyrankiewicza przed pawilonem centralnym, wszystko było związane na przysłowiowy ostatni guzik!

Targi przebiegały bez zakłóceń i powoli zbliżał się ich koniec. Zaprzyjaźniłem się z wieloma delegatami z różnych krajów, poznałem sympatyczną polską recepcjonistkę na stoisku firm niemieckich powstałych po likwidacji IG Farben, bardzo przyjazny układ miałem z kapralem milicji – opiekunem moich hal, dostałem wiele drobnych upominków firmowych i za kilka dni wszystko już się miało skończyć.

28 czerwca panowała piękna letnia pogoda. Wszystko przebiegało normalnie, gdy nagle, gdzieś między godziną 10 a 11 rano, od strony ul. Głogowskiej zaczął dobiegać gwar ludzkich głosów. Od kolegów dowiedziałem się, że od strony Górczyna zbliża się jakaś demonstracja. Okno było tak wysoko, że żeby coś przez nie zobaczyć, trzeba było wejść na drabinę, którą na szczęście dysponowałem. Wszedłem więc na nią, otworzyłem okno i własnym oczom nie mogłem uwierzyć: moje okno akurat mijała czołówka pochodu z transparentem z napisem „Chcemy chleba”! Strajk i demonstracja antyrządowa w kraju „socjalistycznym”? Toż to się w głowie nie mieściło! Na zajęciach Ekonomii Politycznej uczono nas przecież, że strajki mogą występować tylko w krajach kapitalistycznych!

Gdy ukazałem się w oknie, uczestnicy pochodu zaczęli do mnie wołać: „chodź z nami!” Odkrzyknąłem, że muszę pilnować podległych mi hal. Odkrzyknięto mi: „Nikt z nas nic ci nie ukradnie” i pewnie szczerze, ale było we mnie wystarczająco wiele sceptycyzmu, by nie poddać się entuzjazmowi uczestników pochodu.

Dalsze moje obserwacje związane z tzw. wypadkami poznańskimi zawarłem w moich wspomnieniach pt. „Mój Poznań”(vide strona rodzinna MochOwie pod ) i nie chciałbym się tu powtarzać.

W każdym razie ta moja pierwsza poważna praca dała mi wiele satysfakcji Wynagrodzenie było godziwe i w jakiś sposób związała mnie ona z MTP, bo na MTP pracowałem także w roku 1958, a gdy już pracowałem w W-wie i później w Katowicach – zawsze związany z handlem zagranicznym, byłem na tych targach rok-rocznie, choć już w innym charakterze.

W roku 1958 znów pełniłem obowiązki halmajstra, tym razem jednej dużej, nowej hali 20, w której wystawiali wystawcy indywidualni z różnych krajów, m.in. znajdowała się tam narodowa ekspozycja chińska.

Ponieważ w związku z targami w Poznaniu sesja egzaminacyjna odbywała się już w I. połowie maja. Trzeba było zwolnić domy akademickie w centrum miasta na hotele dla zagranicznych wystawców i studentów, którzy musieli w Poznaniu zostać, przeprowadzono do akademika na odległym osiedlu Winogrady. Ponieważ byłem wolny już od 20 maja, zatrudniłem się najpierw jako robotnik na terenie targów, a po kilku dniach - w niemieckim przedsiębiorstwie budującym stoiska wystawców niemieckich.

Doświadczenie z tej pracy bardzo mi się przydało w przyszłości, gdy organizowałem wystąpienia targowe CHZ Animex, a potem gdy z ramienia Polexpo - przedsiębiorstwa specjalizującego się w organizacji polskich wystąpień targowych za granicą - organizowałem polskie kolektywne wystąpienia na targach zagranicznych i kierowałem nimi w charakterze ich dyrektora. Zresztą także później, pracując w Ambasadzie Kanady w W-wie organizowałem kanadyjskie wystąpienia targowe w Poznaniu i Lipsku.

Po dobrze płatnej pracy u Niemców przejąłem obowiązki halmajstra w hali 20.

Targi przebiegały planowo, w hali nie miałem żadnych problemów i to, co najbardziej utkwiło mi w pamięci, były kontakty z Chińczykami: kiedyś, jeszcze w czasie budowy stoisk, nastąpiła awaria sieci zaopatrującej targi w wodę. Na targach nie było jeszcze kiosków handlowych, a było strasznie gorąco. Pamiętam, że udałem się do kuchni Chińczyków, gdzie na piecu stał duży czajnik. Zapytałem, czy mogę się napić. A jakże. Nalałem sobie do dużego kubka płynu z czajnika i myśląc że to herbata, prawie duszkiem go wypilem. Okazało się, że to była esencja herbaty jaśminowej. Zaraz po jej wypiciu zaczęło mi się kręcić w głowie. Okazało się, że jestem pijany ! Po herbacie !

Innym razem upilem się chińskim koniakiem „Maotai” na przyjęciu z okazji Dnia Chińskiego. Póki byłem na terenie targów „trzymałem fason”, ale po wyjściu z terenów targowych „rozebrało mnie”. Szczegółów nie będę przytaczał, ale dobrze utkwiły mi w pamięci !

Na targach tych po raz pierwszy zetknąłem się z tzw. bezpieczeńką.

Gdzieś pod koniec maja 1958 r. do mojego pokoju w domu akademickim im. Hanki Sawickiej zapukał młody, ale znacznie starszy ode mnie facet, przedstawiający się jako kolega z harcerstwa z Gdyni i zapraszający mnie na kawę. W żaden sposób nie mogłem go sobie skojarzyć, ale przez grzeczność udawałem, że go sobie oczywiście przypominam i w ten właśnie sposób wykazałem się absolutnym brakiem inteligencji. Zeszliśmy na dół, a tam już czekał drugi „kolega z harcerstwa” i zaprosili mnie do kawiarni na Pl. Wolności. Szczerze mówiąc byłem lekko ogłupiały, bo nie przyszło mi nawet na myśl, że to faceci z SB. W kawiarni wreszcie zdradzili, kim są, pokazali swoje legitymacje i stwierdzili, że ponieważ wyznaczony zostałem na kierownika hali nr 20, obowiązkiem moim jest współpraca ze Służbą Bezpieczeństwa. Później zastanawiałem się, jak to się stało, że tak się dałem podejść. Zaznaczyli, że jeśli chcę na targach pracować to muszę z SB współpracować, że to mój obywatelski obowiązek itp. Nie chciałem tracić pracy na targach, bo miałem już dalsze wakacyjne plany i dla wszelkiego „obywatelskiego” spokoju wyraziłem zgodę zaznaczając, że informować będę szanownych panów wyłącznie o ew. spostrzeżonych przeze mnie nieprawidłowościach po stronie obywateli zagranicznych.

Po spotkaniu w kawiarni jeden z „harcerzy” udał się ze mną do pobliskiego hotelu, gdzie zadysponował „swoim” pokojem, do którego się udaliśmy. W owych czasach nie istniała jeszcze obsesja na tle „pedalstwa”, ale kto wie, co pomyślała sobie o mnie obsługa hotelowa !

W pokoju „harcerz” przedłożył mi do podpisu zobowiązanie o współpracy, które dla świętego spokoju z myślą, że potem jakoś to będzie, podpisałem. Miał zgłaszać się po raporty raz w tygodniu lub miałem je zgłaszać natychmiast u „opiekuna” pawilonu, gdyby to się

okazało koniecznym. Poinformował mnie też, że mój pseudonim brzmi (chyba) J-23 (coś mi się to kojarzy z kapitanem Klosem !). „Współpraca” z „prowadzącym” mnie SB-kim sprowadziła się do jednego, a może dwóch raportów, w których zgodnie z prawdą stwierdziłem, że na terenie mojego pawilonu nie zdarzyło się nic godnego uwagi, bo tak faktycznie było. Po tej „współpracy” w czasie targów ja, we wrześniu wyjechałem już na stałe do Warszawy i na tym ten kontakt z poznańską bezpieką się urwał. Po latach jednego ze wspomnianych „harcerzy” spotkałem na lotnisku w Poznaniu, gdzie grupa takich jak on czekała na przyłot delegacji rządowej. Wydawało mi się, że mój „znajomy” był wtedy już jakąś ważną figurą.

### *UNACZEŚNIANIE MAP WOJSKOWYCH*

W roku 1956 i 1957 nasz profesor Zabrocki, kierownik katedry językoznawstwa, który był członkiem państwowej komisji d/s nazewnictwa na tzw. Ziemiach Odzyskanych, zaproponował mnie i kilku moim kolegom germanistom pracę w terenie mającą na celu sprawdzenie, czy oprócz nazw oficjalnych nadanych przez władze polskie przyjęły się jakieś lokalne, dotychczas nie uwzględnione nazwy miejscowości wzgl. ich peryferiów, a przy okazji, czy nadal istnieją zaznaczone na mapach obiekty. Pracowaliśmy na niemieckich mapach wojskowych (1 : 25.000) które obejmowały obszary 11 x 11 km. Sprawdzanie odbywało się na rowerach, na które dostaliśmy specjalne przydziały i pieniądze na ich kupno (bo rowery były wówczas dostępne tylko na przydziały, które otrzymywali przodownicy pracy). Za równowartość 1, ½ miesięcznej pensji Polaka (!) kupiłem NRD-owski rower marki Simson-Suhl który służył mi potem jeszcze przez wiele lat.

Praca była ciężka. Codziennie, bez względu na pogodę przejeżdżałem ok 100 km po szosach, drogach i prawie bezdrożach, ale też wynagrodzenie było godziwe. Kiedyś, gdy wróciłem z „terenu” po 110 km jeździe rowerem, koledzy pomagali mi się rozebrać. Tak byłem wykończony. Ale warto było. Po mniej więcej 2 miesiącach pracy „wyrabiałem” do 7 ówczesnych przeciętnych miesięcznych pensji !!! Moi koledzy także. Byliśmy w akademiku najbogatszymi studentami. Później tak dobrze nie zarabiałem jeszcze przez wiele, wiele lat! Jako jedyni mieliśmy dobre (na owe czasy) rowery, ja (jako jedyny w całym akademiku !) miałem radio marki „Pionier”. A jakie powodzenie miałem u koleżanek! Mogliśmy sobie na wiele pozwolić, ale możliwości były ograniczone.

Uczestnicy akcji otrzymywali zaliczkę na bieżące wydatki oraz „bumagę” z Urzędu Rady Ministrów z dużą okrągłą pieczęcią, zobowiązującą wszystkie szczeble władz administracyjnych do udzielania nam wszelkiej pomocy, w tym zapewnienia bezpłatnych noclegów.

Praca w terenie odbywała się jesienią. Uczestnicy akcji oczywiście nie chodzili na zajęcia lecz dzięki autorytetowi profesora uznawano ich nieobecność za usprawiedliwioną, no ale kolokwia czy egzaminy trzeba było zdawać i tu podpieraliśmy się m.in. notatkami kolegów.

### *Pomorze Zachodnie*

W pierwszym roku objeżdżałem tereny w rejonie od Stargardu Szczecińskiego po Koszalin i w rejonie Czarnkowa.

Najciekawsze wspomnienia pozostały mi z noclegów – ze spotkań z ludźmi, którzy na polecenie np. sołtysa musieli mi nocleg bezpłatnie zapewnić. A było różnie.

a) Kiedyś trafiłem do bardzo przyzwoicie wyglądającego poniemieckiego budynku. Cały pokój obwieszony był świętymi obrazami. Gospodarz mówiąc bardzo „zaciągał”, zapytałem więc, skąd on i jego rodzina przyjechali. A on na to, że z Kirgizji. Na to ja: zazdroszczę panu, że taki kawał świata pan zwiedził. A on na to: a ja tam nikomu takiej turystyki nie życzę i

opowiadał, jak tam trafili i żyli. Nie dziwię się, że po swoich doświadczeniach nikomu takiej „turystyki” nie życzył.

b) Innym razem trafiłem do bardzo prostych ludzi. Wieczorem pracowałem nad notatkami związanymi z dokonanymi przeze mnie tego dnia spostrzeżeniami. Mieli odbiornik radiowy: Pioniera, w którym cały czas o czymś mówiono. Pokręciłem więc i nastawiłem muzykę. Na to gospodarz: panie, niech pan nie kręci bo pan zepsuje. Odpowiedziałem, że mam taki sam aparat radiowy i że pokręta są przecież po to, by nimi kręcić i nastawiać w radiu to, na co ma się ochotę. Na to gospodarz: panie, my nie kręcimy, to niech i pan nie kręci. Po co było im radio ? Wystarczyłoby im - tak jak to miało miejsce jeszcze w wielu wsiach i mieszkaniach – kukuruźnik, tzn. głośnik. Tę zagrodę zapamiętałem też z innego powodu: gdy chciałem się już położyć, wskazano mi łóżko z brudną pierzyną i pokrytym plamami prześcieradłem. Co miałem robić. Rozebrałem się, położyłem do tego łóżka i starałem się jak najszybciej zasnąć. Udało się. Jakowoż w nocy obudziłem się czując, że całe ciało mnie parzy. Odkryłem się, żeby się ochłodzić i nagle odczułem, że coś na mnie skacze. To były pchły. Całe ich masy. Nosilem je na sobie jeszcze kilka dni, a jedną zabiłem już po powrocie do Poznania !

c) Kilka razy spałem w budynkach PGR-owskich (Państwowych Gospodarstwach Rolnych). Zarządy PGR-ów przeważnie mieściły się w dawnych pojunkierskich pałacach. Dysponowały tam także „pokojami gościnnymi”. W cudzysłowie, bo zawsze były to duże sale na wiele łóżek. Zaletą PGR-ów było natomiast to, że tanim kosztem można było zjeść obiad w stołówce, którego jakość odpowiadała przeważnie jego cenie. Ale lepszy rydz, jak nic. Raz trafiłem do wsi zamieszkałej przez prawie samych Niemców. Zaskoczyło mnie to. We wsi był także PGR, którego zarząd mieścił się w pięknie odnowionym pojunkierskim pałacu. Wszyscy pracownicy PGR-u byli Niemcami, tylko dyrektor był Polakiem ! Ale też atmosfera w siedzibie PGR-u także była niemiecka: z niemieckim porządkiem, czystością, z kelnerkami w stołówce w czystych białych fartuchach. Nasunęła mi się wówczas bardzo korzystna dla Niemców na tle moich rodaków refleksja. Byłem tam jedynym gościem i gdy ujawniłem się z moją znajomością niemieckiego, byłem obsługiwany jak w najlepszym hotelu ! Oczywiście nie omieszkalem porozmawiać z niemieckimi kelnerkami o fenomenie obecności Niemców we wsi w czasie, gdy całe Ziemie Zachodnie zajęte już zostały przez przesiedleńców „zza Buga”. Nie pamiętam już wyjaśnień, ale pamiętam relacje moich rozmówczyń z opanowania wsi przez wojska radzieckie w 1945 r. Przeróżające, co te kobiety przechodziły ! Jedna podobno po zbiorowym gwałcie popełniła samobójstwo.

d) Niedaleko Karlina (gdzie później odkryto złoża ropy naftowej) trafiłem do wsi zamieszkałej przez samych Ukraińców, których w 1947 r. przewieziono tam z Bieszczad. Było już późno. Znalazłem sołtysa – Ukraińca, pokazałem mu moją „bumagę” z URM i poprosiłem o nocleg. Skierował mnie do gospodarstwa na skraju wsi. Okazało się, że zamieszkałe było przez jedynych we wsi Polaków i że jeśli komuś przysługiwał bezpłatny nocleg, zawsze kierowany był do nich.

Nieraz tak sobie myślę, jak też potoczyło się dalsze życie Niemców z p.c (pewnie później wszyscy pojechali do Niemiec) i Ukraińców z p.d. (pewnie nadal tam mieszkają, albo rozeszli się po Polsce, tak jak pewna Ukrainka, która urodziła się w Koszalińskim, a wraz z żoną poznaliśmy ją w Wierzchucinie, k. Żarnowca, na Pomorzu Gdańskim).

Tereny objęte moją działalnością były widokowo bardzo zróżnicowane. Gdzieś na północny-wschód od Stargardu Szcz. trafiłem do niezniszczonego miasteczka – średniowiecznego grodu. Całe otoczone było murem z dwiema leżącymi po przeciwnych stronach murów bramami wjazdowymi. Nie było tam żadnego podgrodzia, natomiast przed murami tam, gdzie dawniej pewnie była fosa, otoczone było ogródkami działkowymi. Miasteczko było z dala widoczne z szosy. Niestety nie zapamiętałem jego nazwy. Ze względu na charakter tego

grodu i jego stan, powinien on stać się atrakcją turystyczną na skalę polską, a przynajmniej lokalną i dziwi mnie, że nigdy nie zetknąłem się z jakąkolwiek wzmianką o nim. Czyżby mi się przyśniło ? Raczej nie.

Ziemie Zachodnie pokryte były pięknymi kompleksami leśnymi. Niemcy oszczędzali swoje lasy ! Czasami w oparciu o mapę przechodziłem przez las na przełaj. Kiedyś w takiej sytuacji stanąłem jak wryty: wokół mnie rosło wiele pięknych prawdziwków. Nie wiedziałem, co zrobić: zerwać ? Było ich dużo, a ja nie miałbym do czego je włożyć, zresztą miałem jeszcze przed sobą kilka dni pracy w terenie. Kopnąć ? Żal. Postąłem, postąłem i... poszedłem dalej, ale tę moją rozterkę pamiętam do dzisiaj.

W pamięci pozostało mi także następujące spostrzeżenie: na moich mapach (niemieckich) na polach zaznaczone były duże stodoły. Po co wozić zboże z pola do wsi, gdy można je przechowywać i młócić w pobliżu pola. Miałem obowiązek sprawdzania, czy nadal istnieją. Wkrótce przekonałem się, że wszystkie takie wolno-stojące stodoły już nie istniały. Czasami tylko pozostawały po nich resztki kamiennych murów. Pewnie po wojnie trzymanie zboża w takiej stodole wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem.

### *Ziemia Kłodzka*

Na jesieni roku 1957 dokładnie zjechałem tę krainę na rowerze od Nysy poprzez Otmuchów, Paczków, Złoty Stok, Kłodzko, Bystrzycę aż do Międzyzylesia, dalej Międzygórza, Stronia Śl. i Łądką Zdroju. Trasę dobrze pamiętam, bo Kotlinę Kłodzką poznałem już w 1947 r. jako harcerz, a także byłem tam kilkakrotnie w latach późniejszych.

Nocowałem m.in. na zamku w Otmuchowie, podziwiałem mury Paczkowa, trafiłem do wsi przedzielonej polsko-czechosłowacką granicą, a w owych czasach granica to było coś nieprzekraczalnego. Jak ci ludzie, tzn. Polacy i ich czescy sąsiedzi po drugiej stronie parkanu z drutu kolczastego żyli tuż obok siebie, a jednak daleko ? W Złotym Stoku, gdzie nadal czynna była kopalnia złota, granica czeska przebiegała wzdłuż szosy po polskiej stronie i na stromej skale w południowej części miasteczka. Przed parkanem pasły się polskie krowy, a tuż za parkanem pasły się i po czesku ryczały czeskie krowy. Mówiono mi, że gdy w mieście odbywały się jakieś uroczystości, na skale, już po czeskiej stronie gromadzili się czescy gapie.

Początek mojego objazdu był pechowy: w PGR-ze na zachód od Kłodzka, gdzie nocowałem w tzw. pokoju gościnnym, ukradziono mi z portfela wszystkie pieniądze. Zorientowałem się dopiero po przyjeździe do Kłodzka, gdy chciałem kupić pocztówkę. Na szczęście przenocowano mnie dwie noce na „słowo honoru” w hotelu przy rynku miasta, a portier nawet pożyczył mi pieniądze na życie. W owych czasach nie było jeszcze bankomatów i kart kredytowych. Po moim telegramie do kolegów w Poznaniu, po dwóch dniach otrzymałem od nich telegraficzny przekaz, który umożliwił mi kontynuowanie pracy.

Bardzo przeżyłem mój przejazd przez wieś Biała Woda (na zboczu Czarnej Kopy) i sąsiednią wieś, Marcinków. W roku 1947, gdy byłem na obozie harcerskim w Białej Wodzie, obydwie wsie stały nienaruszone przez wojnę. Po Niemcach nie było już śladu. Ich domy, niektóre bardzo piękne, w stylu tyrolskim, zamieszkałe były już przez polskich przesiedleńców „zza Buga”. Dziesięć lat później Biała Woda jako wieś już nie istniała, a Marcinków był opuszczony. Polska gospodarka ! Więcej szczegółów dotyczących obydwu wsi zamieściłem w moim esejem p.t. Niemcy-Polska na stronie rodziny Moch (Moch O Wie) w internecie, pod [www.mochowie.pl](http://www.mochowie.pl).

Na trasie do Polanicy Zdroju trafiłem na wieś zamieszkałą przez przesiedleńców pochodzących z tej samej wsi na Wschodzie. Nocowałem w poniemieckim gospodarstwie, którego budynek mieszkalny był pięknie odnowiony i wybielony, a na zewnątrz i wewnątrz pokryty był pięknie namalowanymi kwiatami. We wsi wszyscy się znali jeszcze z dawnych



czasów i dla mnie ta wieś była przykładem, jak powinni byli być przesiedlani nasi rodacy ze wschodu.

Wspominam także nocleg w jakiejś wsi na zboczu góry, w domu dwóch Niemek. Miałem duże trudności w porozumieniu się z nimi bo mówiły dialektem szwabskim. W tych stronach, jak zresztą na całym Dolnym Śląsku żyło kiedyś dużo Niemców, których przodkami, jeszcze z czasów późnego średniowiecza, byli osiedleńcy za Szwabii (płd.-zach.Niemcy), która kiedyś była przeludniona i bardzo biedna, no i jej mieszkańcy szukali szczęścia na Śląsku, gdzie zresztą byli mile widziani przez piastowskich książąt śląskich. Stąd polska (taka bardziej pejoratywna) nazwa Niemca: Szwab !

Szczególnie mile wspominać, wynikające z potrzeby informacji związanych z moją pracą, wizyty w odosobnionych leśniczówkach, tak na Pomorzy Zachodnim, jak i w Kotlinie Kłodzkiej. Ci odcięci od świata ludzie (w owych czasach nie było jeszcze telewizji) przyjmowali mnie zawsze niezwykle gościnnie i czasami wręcz nie chcieli mnie wypuszczać! Niejednokrotnie korzystałem też z noclegów u nich.

Po pewnym czasie pogoda w Kotlinie Kłodzkiej uległa gwałtownemu i trwałemu załamaniu. Bez przerwy padały deszcze, a ja przecież jeździłem na rowerze. W końcu załamałem się i wróciłem do Poznania. Pracę za mnie dokończył później jeden z moich kolegów.

### *Wyścig Pokoju*

W roku 1957 i 1958 byłem tłumaczem na Wyścigu Pokoju (WP) na polskim odcinku jego trasy, który odbywał się zawsze w pierwszej połowie maja.

Z WP w 1957 r. na trasie niewiele pamiętam. Wyścig odbywał się na trasie Berlin – Warszawa - Praga. Byłem tłumaczem drużyny fińskiej. Niby szwedzkim, ale przede wszystkim posługiwaliśmy się angielskim. Do swojej drużyny dołączyłem w Poznaniu i poprzez polskie miasta, w tym Warszawę i Kraków dojechaliśmy do Katowic i tam się z drużyna pożegnałem.

WP w roku 1958 odbywał się na trasie Warszawa –Praga - Berlin , w Polsce na podobnej trasie + Wrocław i dlatego nie jestem dzisiaj w stanie powiązać pewnych faktów z konkretnym wyścigiem. Byłem tłumaczem drużyny szwedzkiej znów, niby ze szwedzkim, ale głównie z angielskim. Ponieważ wyścig zaczynał się w W-wie, poszczególne drużyny, także szwedzka, przyjeżdżały znacznie wcześniej. Moja drużyna zakwaterowana została w hotelu „Warszawa”, ja zaś w hotelu „MDM”, obok Placu Konstytucji. Zagranicznym kolarzom starano się uatrakcyjnić pobyt w W-wie i moja drużyna została zaproszona przez jeden z dużych zakładów pracy po stronie praskiej, przy ul. Targowej.

Wydano uroczyste, mocno „zakrapiane” przyjęcie z udziałem szefostwa firmy i przedstawicieli jej organizacji społecznych. Obsługiwani byliśmy przez pracownice zakładu, m.in. przez sekretarkę dyrektora, która „wpadła mi w oko”. Obok mnie siedział przy stole trener drużyny, a na przeciw nas korpulentna przewodnicząca zakładowej Ligi Kobiet. Mój trener i ta pani jakoś przypadli sobie do gustu i pani zaczęła go wyraźnie podrywać nalegając, bym tłumaczył jej bardzo aluzyjne wypowiedzi. Towarzystwo wkrótce bardzo się „rozluźniło”, ja natomiast, ze względu na moją funkcję tłumacza „trzymałem fason”. Pani od aluzji przeszła do jednoznacznych „konkretów”, które tłumaczyłem mojemu trenerowi z dużą niechęcią. W każdym razie, gdy impreza dobiegła kresu, towarzystwo dobrze „zawiane” wsiadło do autokaru. Pani z Ligi Kobiet , nie zapraszana dołączyła do nas, sekretarka, na moje zaproszenie także. W autokarze poinformowałem tę panią, że nie będę jej tłumaczył, gdyż zauważyłem u mojego trenera, że jego zapał ostygł. Wówczas pani zwróciła się do mnie następującymi słowami: „słuchaj, frajerze, dlaczego nie chcesz tłumaczyć, o co tobie chodzi ? On sobie pop...li na mnie, a ty na niej (wskazując na sekretarkę) i wszyscy będziemy

zadowoleni !” Tego było mi już za wiele. Gdy wysiedliśmy przed hotelem poprosiłem moją wybraną, żeby na mnie poczekała, a trenerowi poradziłem, żeby uciekł tej babie, co też uczynił. Biegała po piętrach hotelu (wieżowiec !) ale go nie znalazła. Dla mnie natomiast rozpoczął się romans, który trwał ze dwa lata, z konsekwencjami, z jakimi dotychczas się nie zetknąłem i wygasł, gdy już pracowałem w W-wie.

Wyścig Pokoju był dla mnie ciekawym doświadczeniem.

Przed wszystkim podziwiałem kondycję kolarzy i znaczenie masażu: ja z obsługą techniczną jechałem pod koniec peletonu w autokarze i po kilkugodzinnej jeździe byłem mocno sfatygowany. Do kolacji w kolejnym etapowym mieście, związanej z przyznawaniem nagród zwycięzcom etapu, siadałem wyraźnie zmęczony, podczas gdy kolarze, po wcześniejszym masażu wykonywanym przez wykwalifikowanego masażystę, byli jak odrodzeni: pełni werwy i humoru. Przykro mi tylko było, że moi czy to Finowie, czy Szwedzi, pomimo dużego wysiłku z ich strony nie zajmowali liczących się miejsc.

Największe wrażenie zrobił na mnie finał wyścigu wokół Warszawy, który odbył się na wypełnionym do ostatniego miejsca nowym Stadionie X-lecia. Obserwowałem go z murawy stadionu stojąc niedaleko słynnego naszego sprawozdawcy sportowego, Tomaszewskiego – wówczas jeszcze młodego człowieka.

Praca w ostatnich latach studiów (Wyścig Pokoju, targi) odbiła się na moich przygotowaniach do egzaminu magisterskiego, który zdałem w sesji dodatkowej – we wrześniu 1958 r.

### **Praca w Warszawie**

Zakład pracy	ostatnie stanowisko	od dnia	do dnia
PTHZ VARIMEX	Pracownik Umysłowy (de facto handlowiec)	14.10.1958	31.01.1959
CHZ CENTROMOR	Korespondent-tłumacz j.obcych (de facto handlowiec)	1.02.1959	20.04.1960
CWF FILM POLSKI	Starszy Ekonomista	21.04.1960	30.11.1962
ARHZ AGPOL	Kierownik Działu Reklamy	1.12.1962	31.08.1968
MSZ, MKNiK w Wietnamie	Tłumacz j. angielskiego	15.04.1964	26.03.1965
CHZ ANIMEX	Kier.Działu Reklamy Wystaw i Targów	1.09.1968	31.01.1973
PWITZ POLEXPO	Specjalista d/s Organizacji Imprez	1.02.1973	31.01.1976
AMBASADA KANADY Biuro Radcy handlowego	Pracownik Handlowy (Commercial Officer)	1.02.1976	31.08.1980
ARHZ AGPOL	St. Rzeczoznawca d/s Reklamy	9.03.1981	15.05.1982

### *Problemy mieszkaniowe*

Zaraz po zdaniu egzaminu magisterskiego pojechałem do Warszawy, gdzie na SGGW studiował mój brat, Włodek. Miałem wówczas 22 lata ! Problem w W-wie polegał na tym, że istniał tam zakaz zatrudniania osób z poza regionu W-wy, a więc, żeby pracować w W-wie trzeba było być w niej, albo w którejś z pobliskich miejscowości zameldowanym.

Mój brat mieszkał w akademiku w kompleksie SGGW w Ursynowie i miał tam „chody”, nie mówiąc już, że żoną jego była córka głównego portiera kompleksu akademickiego, który mieszkał przy swojej portierni. Kilka pierwszych dni nocowałem u teściów Włodka, pp. Jałosińskich. Miałem więc punkt zaczepienia.

Pp. Jałosińscy pomogli mi zameldować się u ich dalekich krewnych w Otwocku i to pozwoliło mi na poszukiwanie pracy w W-wie. Po kilku noclegach u teściów Włodka, „załatwił” mi on łóżko w jednym z kilkuosobowych pokoiów w domu akademickim. Mieszkałem tam oczywiście nielegalnie i po mniej więcej miesiącu, w wyniku kontroli pomieszczeń zostałem stamtąd wyeksmitowany. Znow z pomocą pp. Jałosińskich znalazłem

lokum u robotniczej rodziny na ul. Stawki. Dzieliłem tam mały pokój z ich synem. Byłem młody i biedny i to musiało mi na razie wystarczyć, choć współżycie z tymi w gruncie rzeczy bardzo miłymi ale bardzo prymitywnymi ludźmi było dla mnie trudne: strasznie „bluzgali”, nawet w stosunku do swoich dzieci, do czego ja nie byłem przyzwyczajony. Pomieszkałem tam z rok i znalazłem sobie na Mokotowie pokój do własnej dyspozycji w mieszkaniu rodziny kierowcy samochodowego – straszego pijaka. No ale miałem tam dużą swobodę. Mogłem u siebie nocować moich gości, dziewczyny. Mieszkałem tam przynajmniej 2 lata, stale jednak byłem zameldowany w Otwocku. Z „przygód” związanych z tym mieszkaniem utkwił mi w pamięci wypadek, w którego wyniku mogło dojść do spalenia przeze mnie mieszkania i siebie samego: usnąłem w łóżku z papierosem w ustach. Obudziłem się, gdy ogień zaczął mi parzyć pierś i widziałem, jak szybko tli się moja pierzyna. Pałając się pierzynę zaraz ugasiłem, ale pokój pełny był dymu. Otworzyłem szeroko okno i moi gospodarze nawet nie zorientowali się, w jakim byli niebezpieczeństwie (mieli dwie małe córeczki). Było to dla mnie poważne ostrzeżenie i już nigdy w życiu nie paliłem w łóżku. Drugi przypadek wywołał mój kolega z pracy: ja wybierałem się na miesiąc do wojska w Skierniewicach, a on akurat utracił wynajmowany przez siebie pokój. Za zgodą moich gospodarzy zamieszkał pod moją nieobecność w moim pokoju. Okazało się, że koleżka mój był straszny hałaburdą. Po moim powrocie moja gospodyni prosiła mnie, żebym go więcej do nich nie zapraszał, bo podobno „dobierał się” do niej, a żeby się do tej pani dobierać, musiał chyba być bardzo, bardzo pijany. Tu muszę zaznaczyć, że z czasem kolega ten spoważniał, ożenił się i został cenionym pracownikiem Ministerstwa Handlu Zagranicznego.

W pokoju tym mieszkałem potem przez kilka dni z moją pierwszą żoną, ale dzięki naszym staraniom, wkrótce znaleźliśmy pokój z używalnością kuchni i ubikacji w starej willi w Komorowie, pod W-wą, gdzie nas także zameldowano. Mieszkaliśmy tam aż do kwietnia 1964 r. – do mojego wyjazdu do Wietnamu. Żona pod moją nieobecność wyprowadziła się z naszą córeczką do jednopokojowego mieszkania swoich rodziców w centrum Warszawy. Wkrótce po moim powrocie z Wietnamu, w maju 1965 r., żona, która była członkiem Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, dostała przydział na dwupokojowe mieszkanie w nowo wybudowanym bloku na Rakowcu, tuż na przeciw cmentarza żołnierzy radzieckich.

### ***VARIMEX (14.10.1958 - 31.01.1959)***

Chciałem pracować w centrali handlu zagranicznego i po zameldowaniu mnie w Otwocku zgłosiłem się od razu w PTHZ Varimex mieszczącym się przy ul. Wilczej. Ponieważ miałem dokumenty poświadczające znajomość języków obcych: niemieckiego, angielskiego i szwedzkiego, przedstawiony zostałem kierownikowi Działu Eksportu Narzędzi, p. Gabrzyckiemu. Ten zrobił mi egzamin ze znajomości geografii (pamiętam, że pytał mnie m.in. o Aden) i przyjął mnie na 3-miesięczny okres próbny. Tu muszę zaznaczyć, że w owych czasach obowiązywał przepis, że absolwent studiów musi przez rok pracować jako praktykant z najniższą dopuszczalną pensją. Moje wynagrodzenie wynosiło 900 zł m-cznie. Jeszcze jako student zarabiałem znacznie więcej, czasami wielokrotność tej kwoty ! Ale cóż: cierp ciało, jak chciało, choć z wysokością tej pensji nie mogłem się pogodzić. Pracowało mi się bardzo dobrze, miałem miłą szefową sekcji (p. Borzymową) i miłych kolegów i koleżanki a nawet w jednej z nich, Lali (zdrobnienie od Stanisławy) podkochiwałem się. Mnie chyba też ceniono, bo pisałem we wszystkich trzech językach oferty i efektem ich były zamówienia na narzędzia. Za znajomość języków można było dostać dodatkowe wynagrodzenie: za pierwszy język 120 zł, za każdy następny – po 90 zł, ale trzeba było zdać odpowiednie egzaminy w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Przy pierwszej okazji zdałem egzaminy z niemieckiego i angielskiego i pensja moja wzrosła już o 210 zł. Wkrótce zdałem także egzamin ze szwedzkiego. Po trzech miesiącach pracy zapytałem kierownika działu kadr, czy mogę liczyć na podwyżkę. Zaprzeczył. Zacząłem więc szukać innej pracy, nawet w Ministerstwie Bezpieczeństwa

Publicznego, gdzie najniższa pensja podobno wynosiła 2400 zł. Pomyślałem, że dzięki mojej znajomości języków obcych mógłbym pracować w ministerstwie w jakimś wydziale nadzorującym kontakty z krajami zachodnimi i zgłosiłem telefonicznie w Kadrach MSW swoje zainteresowanie pracą u nich. Zostałem zaproszony na rozmowę. Po otrzymaniu przepustki udałem się do Działu Kadr. Nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie zrobiły posterunki milicji na każdym zakręcie korytarzy w gmachu MSW. Po tym wrażeniu mój entuzjazm do pracy w MSW zdecydowanie osłabł, co też przejawiało się w rozmowie w Dziale Kadr. Tam zresztą zaoferowano mi znacznie gorsze warunki finansowe niż te, o których słyszałem i krótko mówiąc do zatrudnienia mnie w MSW w końcu nie doszło.

I chwała Bogu !

### ***CENTROMOR (1.2.59 – 20.4.60)***

Z kolei trafiłem do CHZ Centromor, centrali eksportującej statki i importującej sprzęt okrętowy. Tu zaoferowano mi pracę handlowca, ale dla ominięcia przepisu o rocznej praktyce, zaproponowano mi etat korespondenta-tłumacza języków obcych z pensją 1700 zł (plus dodatek j.w. za języki). Tak więc po trzech miesiącach moja miesięczna pensja uległa podwojeniu ! Odszedłem więc z Varimexu i zatrudniłem się w Centromorze (na rogu Mokotowskiej i Pięknej) w dziale importu wyposażenia okrętowego dla budowanych w Polsce statków, kierowanym przez p. Edwarda Przybojewskiego – bardzo ciekawą postać o dosyć kolorowej przeszłości. Specjalizowałem się tam w imporcie łańcuchów okrętowych i wirówek oleju i szybko poznałem te towary tak dobrze, że w rozmowach z kontrahentami zagranicznymi p. Przybojewski przedstawiał mnie (23-latka !) jako inżyniera – specjalistę. Mój szef zawsze zabierał mnie na rozmowy dotyczące moich towarów, na przyjęcia organizowane z okazji wizyt kontrahentów i bardzo mi ta praca odpowiadała. Pracowałem w Centromorze już rok, ale jakoś nie zaproponowano mi podwyżki. A więc sam się o nią upomniałem, a także o zmianę nazwy etatu na odpowiadającą wykonywanej przeze mnie pracy. Pan kadrowiec odmówił. Zacząłem więc rozglądać się za nową pracą i tak trafiłem do Centrali Wynajmu Filmów „Film Polski” - firmy specjalizującej się w eksporcie i imporcie filmów, gdzie zaproponowano mi pracę w dziale eksportu i importu filmów do i z krajów Europy niemiecko-języcznej i skandynawskich.

Tu jeszcze dygresja związana z Centromorem:

W Komorowie, gdzie do 1964 r. mieszkałem z żoną i córeczką, sąsiadem naszym przez ścianę był dosyć młody, ale chory psychicznie człowiek, który mieszkał z matką – staruszką. Często było go słychać przez ścianę, gdy ni stąd ni z owąd dostawał napadów szału. Denerwowały go szczególnie sprawy polityczne i strasznie „bluzgał” na komunistów. Kiedyś, gdy zachowywał się normalnie, dowiedziałem się od niego, że w przeszłości pracował w Centromorze, także w dziale p. Przybojewskiego. Gdy kiedyś spotkałem na ulicy jednego z byłych kolegów z tego działu, zapytałem go czy zna nazwisko mojego sąsiada. A jakże. Opisał go jako człowieka trochę dziwnego, ale nie podejrzewano go o chorobę psychiczną. Kiedyś, przed Nowym Rokiem, pan Edward Przybojewski rozdawał pracownikom działu kalendarze, które wpłynęły do niego z zagranicy. Mojemu sąsiadowi przypadł kalendarz z firmy radzieckiej. Oburzył się i ostentacyjnie rzucił ten kalendarz na stół szefa. Pan Edward podobno żartobliwie nalegał na to by przyjął ten kalendarz, co spowodowało, że mój szanowny sąsiad wpadł w furję i zaczął rozbijać sprzęt w pomieszczeniu działu a w końcu chciał wyskoczyć przez okno (z 4go pietra !) ale go przytrzymało. Oczywiście wezwano pogotowie ratunkowe, które założyło mu kaftan bezpieczeństwa, no i pożegnał się z pracą. Takiego miałem sąsiada, który w końcu trafił do szpitala w Tworkach.

### ***CENTRALA WYNAJMU FILMOW „FILM POLSKI” ( 21.4.60 – 30.11.62)***

Film Polski był przedsiębiorstwem handlu zagranicznego podlegającym Ministerstwu Kultury i przepisy MHZ dot. zasad zatrudniania dotyczyły go tylko pośrednio, a więc był na pograniczu tego ministerstwa i Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Podobno kierownik kadr miał z mojego powodu interwencję z MHZ, co jednak nie wpłynęło na zmianę warunków mojego zatrudnienia.

Pracowałem tam trzy lata od kwietnia 1960 r do końca listopada 1962 r. jako ekonomista w dziale eksportu i importu filmów do i z krajów niemiecko-języcznych i skandynawskich.

Dyrektorem CWF Film Polski był p. Mieczysław Dytko (dalej skrótowo MD).

Jako szeregowy pracownik z p. MD stykałem się bezpośrednio bardzo rzadko. To był Dyrektor Naczelny CWF Film Polski, któremu podlegał Dyrektor Handlowy, p. Skawina, jemu zaś p. Roman Barczyński (dalej w skrócie – RB,) - szef działu, do którego mnie przyjęto. Zetknąłem się tam z ciekawymi, wykształconymi i doświadczonymi życiowo ludźmi, miałem ciekawą pracę tak w zakresie eksportu filmów, jak i importu, byłem chyba ceniony za wcześniej zdobyte doświadczenie tak w eksporcie (z Varimexu), jak i imporcie (z Centromoru), towarzyszyłem odwiedzającym nas obcokrajowcom, mogłem uczestniczyć w pokazach przed Komisją Kwalifikacyjną filmów zagranicznych, których kopie pokazowe z moich kierunków geograficznych ściągałem, a które często nigdy nie wchodziły na ekrany naszych kin, miałem możliwość spotkania znanych aktorów (np. młodziutka p. Beata Tyszkiewicz, czy p. Zbigniew Cybulski), znanych reżyserów (np. p. Munka - na spotkaniu z młodym reżyserem japońskim i jego żoną – znaną japońską aktorką).

Nazwiska współpracowników, które dzisiaj jeszcze, po 55 latach pamiętam, to p. Isia Szaniawska – szefowa działu anglo- i francuskojęzycznego i pracująca w jej dziale p. Matras, p. Buldeski – kolega z n/działu, p. Zając vel Zajączkowski – kolega w moim wieku, który narobił mi trochę kłopotów, a potem stał się poważnym pracownikiem MHZ, p. Kołodyński z działu p. Isi – później znany krytyk filmowy, p. Wróbel – także kier. działu. Bardzo miłe wspominał tę pracę ! Przyczyniła się ona zresztą do istotnych zmian w moim życiu: poznałem tam śliczną panią, Danutę Kosiorek, pracownicę Działu Księgowości, która została moja pierwszą żoną i z którą przeżyłem szczęśliwie 22 lata (!) aż do czasu, gdy nieprzytomnie zakochałem się w mojej obecnej żonie, z którą także szczęśliwie żyję już prawie 30 lat ! Z Danutą doczekaliśmy się córki – Doroty, która od 30 lat żyje w Toronto w Kanadzie. Mam nadzieję, że szczęśliwie, choć bezdzietnie – z mężem Wally`m Dolgunik`em. Przez wiele lat, solidaryzując się ze swoją mamą, nie utrzymywała ze swoim tatą kontaktu.!

Film Polski był w owym czasie w Polsce monopolistą w zakresie importu i eksportu filmów dla kin i telewizji. Prowadziłem tam korespondencję handlową w trzech językach: niemieckim, angielskim i okazjonalnie – w szwedzkim.

P.Barczyńskiemu i p. Dytce wiele zawdzięczałem.

Dodatkowym aspektem tej pracy było to, że w oparciu o przysyłane nam w ramach ofert kopii pokazowych różnych filmów „zaliczyłem” wiele słynnych filmów, które w owych czasach nie miały szans na wejście na polskie ekrany. Filmy te, jako oferty, wyświetlane były bez przerwy przed komisją akceptacyjną na zmianę w dwóch salach. Tam były także wyświetlane wizytującym nas kontrahentom zagranicznym polskie filmy, których dialogi na bieżąco

tłumaczyłem z przetłumaczonych list dialogowych, albo też (najczęściej) prosto z ekranu. Na pokazy takich filmów chodziliśmy w godzinach pracy, gdy pracy było mniej, lub gdy ze względu na tytuł filmu, obejrzenie go było czymś oczywistym.

Praca tam była także atrakcyjna ze względu na możliwości dorobienia sobie do pensji. Dzięki p. Isi Szaniawskiej dostawałem do tłumaczenia listy dialogowe do oferowanych nam filmów, dzięki którym moje zarobki tam znacznie przekraczały moja oficjalną pensję.

Mało sympatycznie wspominam z naszego działu tylko jedną osobę: starszego „przedwojennego” pana, zdeklarowanego antysemitę. Moje nastawienie do Żydów było bardzo przychylne raz, ze względu na ich los w czasie wojny i dwa – ponieważ w moim życiu (np. w szkole średniej w Łodzi), a także w Filmie Polskim stykałem się z Żydami, których znałem tylko od najlepszej strony !

Dyr. Dytko pewnie czymś się naraził władzom partyjnym, gdyż po pewnym czasie przeniesiony został na „dyrektorstwo” w Centrali Wynajmu Filmów Dokumentalnych (CWFD). Tam wkrótce także dostawałem zlecenia na tłumaczenie list dialogowych, np. filmów przyrodniczych i poznałem p. Marię Ramos, z którą później los zetknął mnie ponownie, już na kilka lat w Agencji Reklamowej „Agpol”.

**Dygresja:** w archiwum filmów dokumentalnych tej Centrali odnalazłem film nakręcony z moim udziałem gdzieś w roku 1948/9, a dotyczył on modelarstwa jachtowego. Otóż, gdy byłem uczniem 8 klasy (miałem więc 14 lat) w pojezuickim gimnazjum w Gdyni-Orłowie, zapisałem się do kółka modelarskiego założonego i prowadzonego przez nauczyciela rysunku, znanego gdyńskiego plastyka, n.b. autora herbu Gdyni ! Nazwiska jego już nie pamiętam. Był to w każdym razie dużej klasy entuzjasta, ale i ekscentryk. Jachty (długości ok. 70-80 cm), których kadłuby wykonywaliśmy w klubie z klejonego papieru gazetowego (!) brały potem udział w regatach w basenie jachtowym portu gdyńskiego. Z myślą o spopularyzowaniu modelarstwa jachtowego, pan profesor zainteresował działalnością klubu jakichś producentów filmowych. Ja, jako najmłodszy (zawsze byłem najmłodszy; maturę kończyłem w wieku 17 lat!) wyznaczony zostałem do roli chłopca, który wykraja łódeczki z kory.

W każdym razie po ok. 20 latach obejrzałem siebie w tym filmie ! Następcą Dyr. Dytko w Filmie Polskim został człowiek, który nie przypadł mi do serca. Nie tylko zresztą mnie.

#### ***AGENCJA REKLAMY HANDLU ZAGRANICZNEGO „AGPOL” (1.12.62 – 31.8.68)***

Po krótkim czasie Dyr. Dytko przeszedł z CWFD na stanowisko Dyrektora Naczelnego Agencji Reklamy Handlu Zagranicznego „AGPOL”, ściągnął tam p. Romana Barczyńskiego, ten zaś zaoferował mi pracę w dziale reklamy za granicą prowadzonym przez p. Maciejewską, a po kilku miesiącach – w ramach tego działu – stanowisko kierownika sekcji reklamy central eksportujących art. spożywcze. Pracę w Agpolu rozpocząłem w grudniu 1962 r. i z roczną przerwą pobytu w Indochinach pracowałem tam do końca sierpnia 1968 r.

#### ***Dygresja: Dyr. Mieczysław Dytko***

Trochę moich wspomnień chciałbym poświęcić szczególnie Panu Mieczysławowi Dytko, który kilka lat temu zmarł, a z którym współpracowałem jako jego podwładny przez 8 lat, a potem przez wiele lat utrzymywałem z Nim okresowo kontakt. Tym bardziej zależy mi na przedstawieniu jego sylwetki, że w czasie, gdy jako bardzo młody człowiek (mając 23 do 31 lat) z Nim współpracowałem, pomimo autentycznego szacunku dla Niego, jako swego dyrektora w dwóch przedsiębiorstwach: CWF „Film Polski” i ARHZ „AGPOL”, niejednokrotnie „psioczyłem” na niego, uważałem, że przedsiębiorstwem kieruje, jak własnym folwarkiem, czasami nazywając Go w myśli „hitlerkiem”.

Prawdziwego szacunku i zupełnie innego spojrzenia wobec Niego nabrałem z wiekiem i doświadczeniem i dzisiaj pozwalam sobie nazywać Go swoim guru, bo wiele się od Niego

nauczyłem, bo stał się siłą napędową w moim życiu zawodowym, bo bezpośrednio wzgl. pośrednio zawdzięczam Mu to, że „zaliczyłem” kawał świata i że praca zawodowa dawała mi przez lata wiele satysfakcji osobistej i finansowej.

O życiu prywatnym „Miecia”, jak go pieszczotliwie nazywaliśmy, niewiele wiem. P.MD pochodził z Poznania. Fama głosi, że na stanowisko dyrektora przedsiębiorstwa w W-wie awansował po „linii partyjnej”.

Podsumowując moje osobiste z Nim doświadczenia i współczesne relacje kilku Jego i moich współpracowników, z uwzględnieniem czasów, w których przyszło nam żyć i ich uwarunkowań, znając Jego zalety, ale też i wady (a któż ich nie ma?), stał się dla mnie symbolem CZŁOWIEKA ! Nigdy nie zapomnę rozmowy telefonicznej przeprowadzonej chyba w 2002 r. z Panią Dytko. Chciałem odnowić z Nim kontakt i zrobić Mu moim telefonem niespodziankę, ale nie zastałem go: przebywał akurat na targach we Frankfurcie/M. Miał już chyba 80 lat i ciągle jeszcze był aktywny zawodowo ! Pani D. wyrażała się o Nim ze wzruszającą miłością, a najbardziej wzruszyła mnie ujawniając niechcący ich wspólny niedzielny zwyczaj wspólnego chodzenia do kościoła, czego nigdy bym się po Nim nie spodziewał. Ecce homo!

Dyrektor „socjalistycznego” przedsiębiorstwa

Proszę pamiętać, że tekst niniejszy jest wspomnieniem, a nie oceną !

Jak już wspominałem, moim bezpośrednim przełożonym tak w Filmie Polskim, jak i w Agpolu był p. R. Barczyński, naszym wspólnym szefem zaś p. MD. W tej sytuacji wszystko, co być może zawdzięczam p. Barczyńskiemu, a bywało, że ratował mnie z autentycznych tarapatów (także „sercowych”), wymagało jednak akceptacji p. MD – decision maker’a. W dodatku p. MD był jednostką silną, wiedzącą czego chce i raczej nic w podlegającym Mu przedsiębiorstwie nie mogło się dziać bez Jego wiedzy.

Wydaje mi się dzisiaj, że w charakterze dyrektora przedsiębiorstwa tzw. „socjalistycznego”, p. MD miał chyba ułatwioną sytuację: przedsiębiorstwo podlegało gospodarce „planowej”, przyznawano mu roczny budżet obejmujący wszystkie zaplanowane/akceptowane wydatki, choć także i wpływy. Każde z przedsiębiorstw, którymi kierował, nie miało najmniejszej konkurencji i koncentrowało się na realizacji postawionych przed nim zadań w zakresie: eksportu i importu filmów dla polskich kin i TV (w przypadku CWF „Film Polski”) oraz reklamy za granicą polskiego eksportu wzgl zagranicznej reklamy w Polsce (ARHZ „Agpol”). Środki, którymi dysponował, p. MD mógłby wydawać w znacznym stopniu na siebie i „kolesiów” i pewnie sobie i im krzywdy nie robił, pewnym jednak jest jedno: podlegający Mu pracownicy merytoryczni jeździli po świecie znacznie więcej niż On sam, czy podlegający mu Jego zastępcy ! Mógłbym tu być dobrym przykładem, ale nie tylko ja.

Wielka zasługa p. MD dla polskiego handlu zagranicznego polegała na tym, że chciał kierować naprawdę kompetentnym personelem i robił wszystko, aby ten personel stał się kompetentnym:

a) P.MD uczył zagadnień i form reklamy swój personel i jednocześnie siebie. W końcu skąd mieliśmy się znać na reklamie ?W gospodarce planowej okresu „socjalizmu” nie było konkurencji. Reklama była zbędna. Wystarczyła informacja, a my mieliśmy opracowywać programy reklamy za granicą dla polskich chz (central handlu zagranicznego) i dla zagranicznych firm – w Polsce. Problematyką marketingu i reklamy zajmował się w latach 60-tych chyba tylko jeden naukowiec, na SGHZ: Prof. Białecki .

Nauka polegała m.in. na okresowej preferencji dla pewnych form reklamy. Początkowo podchodziliśmy do tego preferencyjnego zalecania pewnych form reklamy jak do hobby Pana Dyrektora. Jego „hobby” doceniliśmy dopiero później. Chodziło o wdrożenie się w problematykę tych form.

b) W czasach, gdy o dostępie do zachodniej prasy w Polsce nie było mowy, Agpol prenumerował wiodące amerykańskie, brytyjskie i zachodnio-niemieckie specjalistyczne czasopisma w zakresie marketingu i reklamy. Czasopisma te czytane, lub przynajmniej przeglądane były przez zainteresowanych pracowników Agpolu, którzy w owych czasach (lata 1962-68) jako **jedyni w Polsce** wiedzieli, co to marketing, public relations, badania rynkowe, różne formy promocji, kontroli reklamy w miejscu sprzedaży (np. mystery shopping) i doskonale znali zasady prowadzenia takich form działalności oraz znali branżowe terminy, które dzisiaj są „normalką” dla każdego, kto para się jakimś aspektem marketingu.

c) Od czasu do czasu P. MD organizował po godzinach pracy dla tzw. „kadry” własne prelekcje dot. podstawowych praw i zasad ekonomii, marketingu i reklamy (np. pamiętam do dzisiaj Jego wykład na temat znaczenia marki towarowej w marketingu i reklamie, czy na temat franchising’u ). Przecież do tych prelekcji musiał się przygotować i zadać sobie wiele trudu ! Jemu się chciało !

d) Co pewien czas poszczególne działy Agpolu przygotowywały na zasadzie ćwiczenia kompletne prezentacje na zadany temat (np. wprowadzenie marki X dla konserw mięsnych w RFN). Prezentacje obejmowały praktycznie biorąc wszystkie aspekty danego zagadnienia. Były to opracowania liczące kilkadziesiąt stron tekstu, w zależności od etapu działalności marketingowej i adresatów - propozycje tekstów i motywów graficznych, fotograficznych, założeń do spotów reklamowych do kin i TV. Po kilkugodzinnej prezentacji (jedną prowadziłem osobiście) odbywała się dyskusja i ocena prezentacji. Przygotowanie takiej prezentacji wiązało się ze znacznymi kosztami, nie mówiąc już o nakładzie czasu ze strony uczestniczących w przygotowaniu prezentacji pracowników. Nieraz tak sobie myślę: komu by to się dzisiaj chciało tak bardzo osobiście angażować się w szkolenie swoich pracowników i wydawać na to środki przedsiębiorstwa obniżając zysk ? Dzisiaj przyjęto by po prostu do pracy ludzi już kompetentnych, a niekompetentnych by się po prostu zwalniało ! W tamtych czasach (lata 60-te) jeszcze żadna uczelnia tego nie uczyła, nikt nie miał szansy uczenia się tego za granicą. To, co na zachodzie było „normalką” u nas długo jeszcze było „tabula rasa” !

e) Marki towarowe. Pamiętam, jak dużą rolę przywiązywał p. MD do marek towarowych. Aktywność jego w tym zakresie była szczególnie intensywna i dzięki niej z inicjatywy Agpolu opracowane zostały np. na zlecenie Animexu i Agrosu dla istniejących już marek jednolite w formie etykiety towarowe np. dla marek KRAKUS i PEK, do których elementów konsekwentnie nawiązywaliśmy we wszystkich formach reklamy. Działalność w tym zakresie prowadziliśmy przy współpracy agentów zagranicznych w/w central i przy ich finansowym wkładzie w realizację uzgodnionych akcji reklamowych. Opracowane za moich czasów wizualne formy w/w marek towarowych funkcjonują, choć już z drobnymi różnicami, do dzisiaj (a więc przez już ponad 40 lat).

f) P. MD wypuszczał swoich pracowników w świat z myślą o tym, żeby czegoś się tam nauczyli. W przypadku Agpolu, wyjazdy merytoryczne często były niewątpliwie tylko pretekstem aby delegat Agpol’owski nabył wprawy w organizowaniu reklamy za granicą na zasadach obowiązujących w poszczególnych krajach kapitalistycznych lub krajach „socjalistycznych” wzgl. zagranicznej w Polsce. Była to nie tylko nauka reklamy i wszelkich jej aspektów i uwarunkowań, ale także znacznie więcej – nauka zasad marketingu po to, aby pracownik Agpolu mógł w razie potrzeby być doradcą pracowników Działu Reklamy centrali handlu zagranicznego, a przynajmniej być dla pracowników central h.z. autentycznym autorytetem w dziedzinie reklamy. I tak było, bo pracownicy działów reklamy chz znacznie rzadziej jeździli za granicę, często zresztą w towarzystwie pracownika Agpolu (mile wspominam mój wyjazd służbowy do Szwecji, Finlandii i Norwegii w sprawach reklamy Wódki Wyborowej w towarzystwie szefowej działu reklamy AGROS-u , p. Zimoch, czy też mój wyjazd służbowy do USA (ale już w charakterze Szefa Działu Reklamy Wystaw i



Targów chz „ANIMEX” w towarzystwie przedstawiciela Agpolu – p. Hajduka) w sprawie m.in. reklamy polskiej szynki).

g) Oprócz wyjazdów poświęconych konkretnym zadaniom w zakresie organizowania reklamy polskiej za granicą lub zagranicznej w Polsce, wielu pracowników odbywało dłuższe, przynajmniej miesięczne staże w zagranicznych agencjach reklamowych. Możliwość wysyłania pracowników na takie staże (na koszt Agpolu !) uwzględniana była w chyba wszystkich umowach agencyjnych z zagranicznymi agentami reklamowymi Agpolu. Wkrótce po powrocie z Indochin p. MD zaproponował mi dłuższy wyjazd (chyba 3 m-ce) na praktykę do Indii, ale po pobycie w Indochinach (przejazdem także w Bombaju) byłem Dalekim Wschodem zmęczony i argumentując sytuacją rodzinną, z tego wyjazdu „wymigałem się”. Pojechał mój kolega, Zbyszek Zawidzki. Iluż to moich kolegów odbyło takie staże w atrakcyjnych krajach (!).

### P.MD i ja

Gdy zaczynałem pracę w Filmie Polskim – a więc gdy zacząłem być pracownikiem p. MD miałem 24 lata a skończyłem ją w wieku 31 lat odchodząc z Agpolu do Animexu. Propozycję przejścia do Animexu złożył mi jego dyrektor handlowy, a były sekretarz handlowy Biura Rady Handlowego w Londynie, p. Ślusarski, w porozumieniu z Dyrektorem Naczelnym Animexu, P. Dęborskim – b. Dyrektorem Anglo-Dalu w Londynie, którzy poznali mnie w „akcji” w czasie moich podróży służbowych do Anglii. Zaproponowali mi stanowisko Kierownika Działu Reklamy Wystaw i Targów. Było to dla mnie prawdziwe wyzwanie i otwierało zupełnie nowe możliwości. Propozycja ta padła w czasie, gdy Agpolem i p. MD byłem już trochę zmęczony. Zdawałem sobie sprawę z tego, że w Agpolu krzywda mi się nie stanie, ale moje perspektywy są ograniczone.

Moje odejście latem 1967 r z Agpolu przyjęte zostało przez moich przełożonych, p.p. MD i RB jako mój awans, jako dowód, że to co we mnie w Agpolu zainwestowano, zaowocowało: że centrala handlu zagranicznego potrzebuje fachowca z Agpolu. Pomimo pewnych obaw moich szefów, że korzystał będę w Animexie z pewnych firmowych, agpolowskich tajemnic i kontaktów, otrzymałem ich „błogosławieństwo” na nowej drodze pracy zawodowej i utrzymywaliśmy potem zawsze jak najlepsze stosunki służbowe i prywatne.

Sympatia moich szefów z Filmu Polskiego i Agpolu do mnie, niezależnie od pewnych moich przydatnych dla tych przedsiębiorstw umiejętności, wynikała pewnie z pewnych moich cech charakteru: byłem bardzo młody, bojowy, bezkompromisowy, pewny siebie i z niewyparzonym językiem (na co niejednokrotnie zwracał mi uwagę p. RB i co dzisiaj, starszego już pana, bardzo mnie drażni u współczesnej młodzieży), widzącym wszystko w kolorach czarnym i białym. Szarości zacząłem uczyć się widzieć właściwie dopiero w Animexie, gdzie dla załogi byłem człowiekiem obcym i musiałem iść na różnego rodzaju kompromisy.

Panowie MD i RB, o wiele ode mnie starsi, chyba widzieli we mnie siebie, gdy byli młodymi. Dał temu kiedyś wyraz p. MD po jakimś konflikcie, który musiał łagodzić, zaprosił mnie do swego gabinetu i m.in. powiedział: „Panie Moch, patrząc na pana widzę siebie w pana wieku. Niech pan się zmieni, bo daleko pan nie zajdzie. Niech pan popatrzy na mnie, ja też daleko nie zaszedłem !” Co do tego ostatniego stwierdzenia miałem swoje wątpliwości: w końcu od wielu lat był „panem i boh’em” dużych i ważnych przedsiębiorstw !

Drobnych konfliktów pomiędzy mną a p. MD było wiele i p. MD musiał mieć do mnie dużą słabość, że mnie tolerował. Jeszcze w czasie mojej pracy w Agpolu powstawały na ten temat legendy. Przykłady konfliktów:

1) Narada dyrekcyjna z udziałem wszystkich kierowników działu (przeważnie starszych panów bezkrytycznie akceptujących wszystko, co pochodziło od p. MD). P.MD referował szereg akcji reklamowych przeprowadzonych w ostatnim czasie przez Agpol. Miał zwyczaj mówienia o akcjach zorganizowanych przez przedsiębiorstwo, jako o swoich.

Doszedł do jednej z akcji przygotowanych w moim dziale stwierdzając: „Przygotowałem (powiedzmy) dla Animexu program reklamy Yano”. Na to ja: „A ja Pana Dyrektora przy tej robocie nie widziałem !” Moja riposta natychmiast rozeszła się po przedsiębiorstwie.

2) Podobna narada dyrekcyjna P. MD m.in. omawia niepowodzenie mojego działu w uzyskaniu zlecenia Agrosu na jakąś tam akcję stwierdzając, że niepowodzenie to wynikało z delegowania na rozmowy do Agrosu szeregowego pracownika, Pani Krystyny Potockiej. Fakt był taki, że p. Krystyna Potocka, która w dziale zajmowała się reklamą m.in. Agrosu była w Agrosie ze mną i to ja omawiałem sprawę z Agrosem ! Na to ja: ”Przepraszam Panie Dyrektorze, ale P. była w Agrosie ze mną i to ja prowadziłem rozmowy”. Dyrektor MD powtarza:” ...no bo jak Moch do Agrosu wysyła w tak ważnej sprawie szeregowego pracownika, P., to oczywistym jest, że nie mogła ona przekonać Agrosu do naszej propozycji”. Na to ja:” Przepraszam Panie Dyrektorze, ale P. była w Agrosie ze mną i to ja prowadziłem rozmowy”. Na to p. MD, „Panie Moch, proszę mi nie przeszkadzać” i powtarza to, co przedtem, a ja powtarzam swoje. Na to p. MD: ”Panie Moch proszę mi nie przeszkadzać, bo będę zmuszony pana wyprosić” I powtarza j.w. a ja też reaguję j.w. Na to p. MD: Panie Moch, proszę opuścić mój gabinet !

Ja wychodzę, a zamykając drzwi słyszę z sekretariatu, jak p. MD stwierdza z uporem godnym lepszej sprawy: :”...no bo jak Moch do Agrosu wysyła w tak ważnej sprawie szeregowego pracownika, P...”na to ja otwieram drzwi gabinetu i powtarzam swoją wersję. Tego już p. MD nie zdzierzył i krzyknął „Won !” Sprawa oczywiście stała się głośna, ale w żaden sposób nie wpłynęła ona na stosunek p. MD do mnie. Po prostu mnie tolerował.

Zdarzeń analogicznych, gdy stawiałem p. MD w kłopotliwej sytuacji wobec innych było więcej. Po przedsiębiorstwie zaczął kursować niemiecki dowcip obrazkowy: przedstawiał on na pierwszym obrazku telewizor, a w nim jakiegoś z zaangażowaniem wymachującego rękami mówcę, zaś przed telewizorem faceta reagującego wymachiwaniem rąk na tamtego mówcę, z którym wyraźnie się nie zgadzał. Drugi obrazek przedstawiał ten sam telewizor, w którym wystąpiły zakłócenia, zaś facet sprzed telewizora ze zmartwioną miną stara się ponownie nastawić obraz ze swoim adwersarzem. Trzeci obrazek przedstawiał sytuację, jak na pierwszym z tym, że facet sprzed telewizora znów wymachuje rękami na tego w telewizorze, ale ma wyraźnie zadowoloną minę.

Dowcip zatytułowano: M.D. i Moch i ...coś w tym było.

Bezkrytyczne podporządkowanie się kierownikom działów Dyrektorowi MD było ogólnie znane, tak jak to, że jedyną osobą, która miała czelność „stawiać się” byłem ja.

Po kilku latach, już jako pracownik innego przedsiębiorstwa odwiedziłem koleżanki w Agpolu (m.in. p. Elę Siegiedę) Zeszło się nam na wspominki na zasadzie: „...a pamiętasz”. I tak „przypomniano mi” jakieś konfliktowe zdarzenie z p. MD, jako niby zdarzenie z moim udziałem, które przy moim udziale absolutnie nie miało miejsca. Po prostu wszelkie objawy „stawiania się Dytce” kojarzono wyłącznie z Mochem !

Niewątpliwym przejawem życzliwości dla mnie ze strony p. MD i RB był fakt zezwolenia mi, jako pracownikowi Agpolu na wyjazd na rok do Wietnamu. Wyjazd ten załatwiłem sobie sam z tym, że nie mógłby dojsć do skutku, gdybym nie dostał ze swojego zakładu pracy urlopu bezpłatnego. Dostałem ten urlop bez problemu, a po moim powrocie przyjęty zostałem ponownie do pracy już na wyższe stanowisko: kierownika działu (przed wyjazdem byłem kierownikiem sekcji). A znając bezinteresowną „życzliwość” naszych rodaków, mogłem tego urlopu nie dostać i nie dorobić się w Wietnamie samochodu (w owych czasach nieosiągalnego marzenia każdego młodego Polaka) i środków pozwalających na znaczną niezależność !

Panu MD zawdzięczam jeszcze jedno: dzięki niemu nie zapisałem się do „naszej” partii !!! A było to tak:

Chyba w roku 1966 POP PZPR postanowiła powołać w Agpolu komórkę ZMS (Związku Młodzieży Socjalistycznej). Zadaniem założenia tej komórki obarczono Andrzeja Zdrójkowskiego z mojego działu – członka partii. Zabrał się do tego w prosty sposób: ogłosił, że na zebraniu, które odbędzie się dnia.... mają się zgłosić wszyscy byli członkowie ZMP oraz inne osoby chętne do przystąpienia do ZMS. Zebranie odbyło się w pomieszczeniu mojego działu. Zgłosiło się kilka osób, w tym kilkoro starszej „młodzieży”, ludzi przeważnie wykształconych, oraz trzy sprzątaczk. Nie mam absolutnie nic przeciwko sprzątaczkom, ale o czym pozostali członkowie organizacji mogliby z nimi rozmawiać ?

Andrzej Z. odczytał listę b. członków ZMP sporządzoną w oparciu o dane z Kadr i stwierdził, że nie wszyscy, którzy powinni, zjawili się na zebraniu i że w związku z tym należy wobec nich wyciągnąć konsekwencje organizacyjne !(wobec osób, które do nowej organizacji w ogóle jeszcze nie należały !). Zaprotestowałem i w wyniku wyborów na przewodniczącego nowego koła ZMS wybrano mnie. Ja wówczas miałem już z 30 lat (!) Absolutnie nie chciałem bawić się w jakieś organizacje młodzieżowe , nie mówiąc już o partyjnej podległości Andrzejowi Z. Wpadłem więc na pomysł, że nie mogę być przewodniczącym koła, gdyż właśnie mam zamiar wstąpić do partii i jakoś się z tego przewodniczenia wyłgałem, a przewodniczącym został chyba Wojtek Janikowski.

Faktem jest, że brałem pod uwagę wstąpienie do partii, bo o jakimś dalszym awansie bez członkostwa partyjnego trudno raczej było marzyć i zresztą wyglądało na to, że skazani jesteśmy na „socjalizm” i że żeby coś osiągnąć, po prostu trzeba należeć do partii.

Złożyłem więc podanie o przyjęcie mnie do partii. Podanie trafiło do p. MD, a ten wezwał mnie do siebie i zażądał, żebym udokumentował, że moja rodzina w czasie okupacji nie przyjęła tzw. Volkslisty. Czułem się po prostu obrażony: jak to: mam udowadniać, że moja rodzina zachowała w czasie wojny polskie obywatelstwo ? P. MD bardzo mi wtenczas podpadł, a po wyjściu z jego gabinetu, na piśmie wycofałem swój wniosek o przyjęcie do partii. Po latach byłem mu wdzięczny. Do dzisiaj nie wiem, czy chciał mnie przed partią uchronić, czy partię przede mną ? W każdym razie nigdy już nie przyszło mi do głowy staranie się o przyjęcie do jakiejś partii (np. do Stronnictwa Demokratycznego (SD) – do czego bardzo mnie namawiał mój kolega argumentując, że karierę można zrobić dzięki istnieniu tzw. „klucza” partyjnego (PZPR/SD/ ZSL). Postanowiłem być człowiekiem wolnym i źle na tym nie wyszedłem. Wprawdzie kariery nie zrobiłem (pewnie nie tylko z powodu braku przynależności do partii), ale życzę każdemu tego, co mi się w życiu przydarzyło bez przynależności partyjnej, a dzięki znajomości języków, m.in. roczna praca w charakterze tłumacza w Międzynarodowej Komisji Nadzoru w Indochinach (w Wietnamie), przydział w charakterze oficera rezerwy do Biura Propagandy Specjalnej w Głównym Zarządzie Politycznym WP z dostępem do niedostępnej w kraju międzynarodowej prasy, do pewnych tajemnic wojskowych, do pracy przy nasłuchach telewizji RFN, a przede z kontaktem z mądrymi oficerami, których nikt by się w GZP WP nie spodziewał !! Okresowe powoływanie mnie do pracy w GZP z moimi przełożonymi oficerów przyjmowałem z przyjemnością i wspominam z dużą satysfakcją !

Kiedyś, już jako pracownika Animexu zaprosił mnie do swego gabinetu i razem wypiliśmy przynajmniej ćwiartkę wódki, kiedy indziej – zaprosił mnie do kawiarni na kawę, bo chciał, żebym mu pomógł załatwić w Anglii pewną sprawę. Gdybym był w stanie – niewątpliwie bym Mu pomógł, ale po prostu przeliczył się z moimi możliwościami.

Na koniec chciałbym poruszyć jeszcze jedną sprawę, która mocno odbiła się na mojej pamięci i wywołała we mnie tzw. mieszane uczucia:

### MD a Żydzi

Jeden z kolegów z działu Filmu Polskiego, w którym pracowałem w miłym gronie kierowanym przez p. R.B., a którego nazwiska świadomie nie wymieniam – starszy pan, przedwojenny

inteligent (?) wyraźnie starał się zarazić mnie antysemityzmem. Był to mój pierwszy kontakt z takim prymitywnym przedwojennym antysemityzmem. Wówczas jednak nie miałem jeszcze w pracy żadnych doświadczeń z Żydami. Nie dzieliłem ludzi na Polaków i Żydów. Do Żydów, jako do tych, którzy uratowali się z pożogi wojny, miałem stosunek przychylny nawet, gdy było ich później coraz więcej wokół mnie. Wpłynęły na to moje własne, jeszcze jako dziecka doświadczenia związane z wyzwoleniem Bydgoszczy w 1945 r, serdeczne kontakty z dwoma kolegami gimnazjalnymi w Łodzi: Frenkel'em vel Glazerem (który potem wyemigrował do Kanady, dokąd ściągnął go ojciec, który się tam odnalazł) i z Felkiem Bergmanem – późniejszym pracownikiem CHZ Ciech, a niewątpliwie także atmosfera domu rodzinnego – bardzo przychylna Żydom w wyniku wojennych doświadczeń rodziców. Nawet mój Ojciec – przedwojenny członek Falangi, który uczestniczył w rozbijaniu szyb wystawowych sklepów żydowskich, po doświadczeniach wojennych radykalnie zmienił swoje do nich nastawienie. Faktem jest, że wkrótce miałem się przekonać w „Agpolu”, że niektórzy Żydzi cieszą się szczególnie przywilejami. Zetknąłem się w Agpolu z Żydami o różnym poziomie intelektualnym, m.in. o poziomie intelektualnym drobnego rękodzielnika, którym powierzono stanowiska dyrektorskie, ale także z wieloma naprawdę na poziomie pracownikami pochodzenia żydowskiego. P. MD miał przypuszczalnie jakieś swoje powody, dla których przyjmując niektórych ludzi do pracy chciał im pomóc, albo też był do tego skłaniany przez swoich ministerialnych zwierzchników. Nigdy jednak nie zapomnę tzw. otwartego zebrania POP PZPR po tzw. marcu 1968 r., na którym p. MD (niewątpliwie na polecenie swoich zwierzchników partyjnych czy administracyjnych) jednoznacznie zapowiedział, że dla „syjonistów” w Agpolu miejsca nie ma i potrafił skutecznie ich skłonić do odejścia. Wielu z nich wyemigrowało. Zdaję sobie dzisiaj sprawę z tego, że łatwo krytykować innych. Kto wie, jakbym się zachował będąc w Jego sytuacji. Nigdy nie byłem człowiekiem „opoką”.

Pamiętając atmosferę tamtych czasów i biorąc pod uwagę także to, że p. MD wielu ludziom pomagał, o czym dowiedziałem się od nich samych dopiero po wielu, wielu latach, zakładam dzisiaj, że niektóre osoby pochodzenia żydowskiego przyjmował, bo miał w tym interes, a były to osoby na poziomie (!), niektóre przyjmował, bo chciał im pomóc, a niektóre zostały Mu narzucone. Gdy zwierzchnicy partyjni i administracyjni zmienili politykę wobec Żydów, panu MD nie pozostało nic innego, jak w obronie własnej „skóry” dostosować się do nowych wytycznych.

P. Isia Szaniawska z „Filmu Polskiego” – Żydówka, dla mnie starsza Pani – wspaniała kierownik działu, pełna kultura, wyśmienita znajomość angielskiego - wręcz mi imponowała i zawsze cieszyła się moją sympatią (w latach 70-tych pracowała jako polski pracownik Wydziału Rolnictwa Ambasady USA w W-wie). Osobiście wiele Jej zawdzięczam, bo dzięki niej, jak już wspominałem, w „Filmie Polskim” zacząłem wykonywać tłumaczenia w trzech znanych mi językach list dialogowych do sprowadzanych kopii filmowych. Tak zacząłem zdobywać doświadczenie tłumacza, a przede wszystkim – dzięki tłumaczeniom zarabiałem miesięcznie więcej niż na etacie. W Agpolu z dużą sympatią wspominam p. Bunię Kagan, szeregowego pracownika, która swoim pochodzeniem wręcz się chlubiła, choć czuła się Polką, a jej mąż pracował jako muzyk w Filharmonii Narodowej, gdy jednak w roku 1968 jej synowi dano na uczelni odczuć, że on nie Polak, tylko Żyd i zażądał od rodziców emigracji do Izraela – niezwłocznie to uczynili. Z szacunkiem wspominam p. Maciejewską – kierowniczkę działu, p. Neumark – żonę Dyrektora Gabinetu Ministra Kultury – panią wysokiej kultury i o duszy artysty, p. Pachtintera – młodego, energicznego kierownika działu (chyba PR), który zmuszony do emigracji – dopiero w Niemczech, a potem we Francji pokazał, na co go stać: wkrótce zajął się eksportem węgla do ZSRR i został multimilionerem. Z niesmakiem wspominam z-cę Dyr. MD, p. H. Żyda, dzięki któremu najadłem się wstydu (czego nigdy nie zapomnę) w czasie obiadu, na który do Klubu Lotników w Londynie (imponującego gmachu wielkości Giełdy w W-wie, a dawnego KC PZPR) zaprosił pana H. szef Działu Reklamy „Times'a” p. Zamoyski,(a

towarzyszyła mu jakaś fińska hrabina przebywająca w Londynie, aby kupić pieski do swojej hodowli ! ), zaś p. H. zaproponował mi, żebym mu towarzyszył.

Z sympatią wspominam innego z-cę Dyrektora MD, także Żyda, p. Szolca, który choć nie był „asem”, był naturalny i bezpretensjonalny. Gdy później piastował stanowisko Racy Handlowego polskiej Ambasady w Finlandii, obaj ze strony polskiej uczestniczyliśmy w Helsinkach w obiedzie z okazji dorocznego spotkania Finsko-Polskiej Izby Handlowej. Abstrahując od tego, że był to dla nas obu kuriozalny dinner (10 kolejnych różnych przystawek bez dania głównego), bardzo korzystnie wypadł na tle niektórych uczestniczących w nim tuzów fińskiego przemysłu i „obskakujących” ich młodych fińskich lizusów.

Heca „antysyjonistyczna” z roku 1968 narobiła mnóstwo szkody nie tylko Żydom (niektórzy na tym wręcz dobrze wyszli), przede wszystkim jednak polskim masom ludowym budząc u wielu ciemniaków uśpione w nich antysemickie resentymenty jeszcze z czasów przedwojennych. Szkoda, że do tej hecy, dla tzw. chleba z masłem, dali się wciągnąć także przyzwoici ludzie.

W latach 70-tych i 80-tych nie miałem kontaktu z p. MD. Słyszałem, że w życiu służbowym p. MD nastąpiły jakieś zmiany, których nie śledziłem i zetknąłem się z p. MD dopiero na przełomie lat 80/90, gdy pracował na rzecz jakiejś niemieckiej firmy. Potem założył własną firmę w Poznaniu. Był aktywny zawodowo mając już ponad 80 lat! Cały M.D.

I jeszcze jednej osobie z Agpolu chcę poświęcić szczególne wspomnienie, choć osób takich mogłoby być więcej:

### ***Dygresja: Witek Florczak***

Witek był kilkanaście lat starszy ode mnie. O ile pamiętam był rozwodnikiem i miał dwóch synów, którzy mieszkali z b. żoną. Robił wrażenie człowieka o niezbyt uporządkowanym życiu prywatnym i nie emanowało z niego szczęście osobiste. Był byłym AK-owcem i w okresie, w którym się znaliśmy, fakt ten determinował o perspektywach jego kariery zawodowej. Witek był dla mnie typowym inteligentem – produktem międzywojnia, m.in. trochę romantykiem i trochę naiwnym. Wydaje mi się, że np. swoją „wadę” AK-owca starał się nadrobić pracowitością. Pewnie myślał, że ktoś to zauważy, doceni. Był niesłychanym, wręcz przesadnym perfekcjonistą Często zostawał po godzinach i autentycznie pracował: przepisywał coś na czysto swoim pięknym, wyćwiczonym w przedwojennej szkole kaligraficznym pismem lub opracowywał tabele, którymi porządkował jakieś zagadnienie. Tabelaiczne przedstawianie zagadnień było jego niezaprzeczalnym hobby !

Te jego wysiłki wszyscy widzieliśmy, ale my nie mieliśmy złudzeń takich jak on. Starałem się go zniechęcać do pozostawania w pracy po godzinach, przez dłuższy czas bez skutku.

Witek był wspaniałym gawędziarzem. Żył czasami przedwojennymi i okresu wojny. Z jego opowieści wynikało, że zna się na czołgach, na samochodach (Adlerach , Wandererach - kto dzisiaj jeszcze pamięta te marki ?) i na wszystkich innych stosowanych w Polsce samochodach osobowych i ciężarowych oraz na samolotach. Na wszystkim znał się zbyt dobrze by był wiarygodnym. Mało tego, wg jego relacji w czasie wojny działał w W-wie w AK w batalionie „Parasol”, walczył i był ranny w Powstaniu Warszawskim, był w niewoli niemieckiej , był czołgistą w Armii Andersa, ba, pokazywał nam swoje zdjęcie w battle dress'ie przed czołgiem typu Sherman. Śmialiśmy się za jego plecami, że Witek był jednocześnie w różnych miejscach Europy i podchodziliśmy do jego opowieści z przymrużeniem oka. Kiedyś jednak, w czasie wspólnego wyjazdu służbowego do Łodzi, gdy przechodziliśmy koło antykwariatu, Witek nagle zatrzymał się i podnieconym głosem zawołał: o, PZL (i jakiś tam numer). Z daleka rozpoznał samolot na zdjęciu na otwartej stronie jakiejś książki. Uczciwie przyznam, że postanowiłem go sprawdzić. Razem weszliśmy do antykwariatu i poprosiliśmy o pokazanie nam książki. Witek bez trudu rozpoznawał różne

typy przedwojennych polskich samolotów. Po prostu znał je. Na samochodach także się znał. To fakt !

Witek miał też zdolności poetyckie, podobnie jak drugi kolega z naszego działu, Andrzej Zdrójkowski. Szczególny popis swoich umiejętności poetyckich dawali przy okazji imienin jednego z nich. Czasami były to całe kilkustronicowe poematy ! Andrzej prześmiewał się w jednym z nich z przygód Witka.....

### **A wszystko to było prawdą !**

Wyczytałem gdzieś, a część opowiedziała mi jego b. sympatia, że: Ojciec Witka był przed wojną wyższym oficerem WP – dowódcą jednostki tzw. tankietek, początkowo we Lwowie, później zaś w Krakowie. Tankietki to był w owych czasach szczyt nowoczesnej techniki w armii i marzenie każdego młodego człowieka. Witek, jako nastolatek kręcił się w zespole i był przez żołnierzy lubiany i wprowadzany w tajniki techniki pancernej. W dodatku w Krakowie jednostka została rozlokowana na obrzeżu lotniska, a więc Witek miał dostęp do najnowszej techniki lotniczej owych czasów. Tata Witka jeździł oczywiście służbowym samochodem, a samochód tak kiedyś tak jak i dzisiaj fascynował i fascynuje większość chłopców i mężczyzn. Oczywiście także Witka, któremu szofer Taty pozwalał obserwować jak pracuje przy samochodzie, a nawet pozwalała mu pojeździć – tak jak to czynią dzisiejsi ojcowie.

Mało tego. Witek jako 16- letni chłopak zapisał się i dzięki pozycji swego taty został przyjęty na kurs czołgistów, który zdał z bardzo dobrym wynikiem jako najmłodszy czołgista w Polsce !

W czasie wojny ojciec jego trafił do oflagu (obozu jenieckiego dla oficerów) zaś Witek z mamą znaleźli się w W-wie. Tu ,jak każdy szanujący się młody patriota działał w ruchu oporu, w AK, a kiedy jego dowódcy poznali się na jego umiejętnościach, został w batalionie Parasol szkoleniowcem dywersantów. Szkolił ich jak kraść samochody potrzebne do różnych akcji, jak je uruchamiać, jak nimi jeździć i naprawiać. W czasie Powstania Warszawskiego, pod jego koniec został ranny w rejonie ul. Jasnej. Po upadku powstania dostał się do niewoli niemieckiej, do obozu gdzieś w zachodnich czy południowych Niemczech Obóz został wyzwolony przez Amerykanów, a Witek, podobnie jak wielu jego kolegów, wysłany został do Włoch do dyspozycji stacjonującej w rejonie Bolonii Armii Andersa. Tu najpierw leczył się z ran po-powstaniowych w polskim szpitalu polowym, a potem wywalczył sobie przydział do jednostki czołgów Sherman. Na tym kończą się przygody wojenne Witka, bo w międzyczasie Niemcy złożyły kapitulację i Witkowi nie było już paść na polu chwały w Shermanie ! Jak wielu „Andersowców” (dobrze ich pamiętam i ich los !) wrócił do kochanej Polski, która im i jemu się „odwdzięczyła”.

Najbardziej mnie zaskoczyła w relacji o przygodach Witka wiadomość, że nasza wspólna koleżanka w dziale, p. Grażyna Wieluńska, pani mniej więcej we wieku Witka ,a więc z mojego ówczesnego punktu widzenia (25-28-latka) starsza pani, osoba chyba samotna, niezwykle spokojna, solidna i maksymalnie samodzielna, o której przez lata nic nie wiedziałem, to koleżanka Witka: b.pielegniarka w szpitalu w Bolonii w czasie, gdy leżał tam Witek. O ich znajomości wiedziały tylko bardzo zaufane osoby, a ja w czasie pracy z nimi widocznie do nich nie należałem !

W wydanej w roku 1991 monografii „Parasol” Piotra Stachiewicza, Witoldowi Florczakowi pseud. Minoga vel Tłok poświęcono wiele ustępów.

Po latach, chyba w roku 2002 postanowiłem sprawdzić, co też z Witkiem, teraz już bardzo starszym panem, się dzieje. Znalazłem jego telefon i po prostu z Katowic zadzwoniłem i żałuję, że to zrobiłem.

Telefon odebrał mężczyzna. Zapytałem, czy to mieszkanie p. Florczaka ? Odpowiedziano: tak. Na to ja: „a czy może rozmawiam z Panem Witoldem Florczakiem ?” Odpowiedź: „tak”. Na to ja: „cześć Witku, tu Jurek Moch....” reakcja: „zaraz zapiszę” . Ja trochę zdziwiony: „ Witek, nie pamiętasz mnie ? Przecież pracowaliśmy w jednym dziale w Agpolu” na to on:”zaraz zapiszę”. Zdałem sobie sprawę, że coś z nim jest nie tak, zapytałem więc:” Witek, a ile Ty już masz lat ?” Po dłuższej chwili odpowiedź: „nie wiem”.

Zrozumiałem. Życzyłem mu zdrowia i długiego życia i zrobiło mi się bardzo, bardzo smutno.

Pracy w Agpolu, a właściwie dwóm ludziom poświęciłem wiele miejsca, a mógłbym jeszcze wiele więcej miejsca poświęcić innym, z którymi tam się zetknąłem, tak moim współpracownikom, partnerom zagranicznym i gościom z zagranicy. Przeżyłem tam także przygody natury sercowej, w tym wieloletnią wielką miłość i wiele wrażeń z wyjazdów za granicę (lista moich wyjazdów za granicę m.in. w okresie pracy w Agpolu) – vide zestawienie „Moje podróże” na w/w stronie [www.mochowie.pl](http://www.mochowie.pl).

Ze zdarzeń w Agpolu, które utkwily mi w pamięci mile wspominam p. Amuzu – szefa firmy reklamowej w Akkrze (Ghana). Na spotkania ze mną przychodził w swoim stroju ludowym. Wspominam przygodę ze starszym pracownikiem firmy (dobrze po 50-ce), specjalisty od tzw.lay-outów (formy ogłoszeń reklamowych). Pracował on w drugim końcu korytarza naszego biura, ale kiedyś, gdy rano zjawiłem się w pracy, zastałem tego pana w pomieszczeniach mojego działu ( 2 pokoje) i robił wrażenie człowieka strasznie zdezorientowanego. Co państwo tu robicie, pytał z takim jakimś wyrzutem, no to tłumaczę mu, że powoli przystępujemy do pracy, że niektórzy z nas lubią najpierw zapoznać się z relacjami prasy....no ale co ta pani robi przy moim biurku, pyta. Zrozumiałem wtedy, że coś jest nie tak. Poprosiłem kolegę, żeby z tym panem podyskutował na temat aktualnych lay-outów ogłoszeń przygotowanych przez nasz dział. Kolega i pozostali pracownicy dobrze zrozumieli sytuację, ja zaś poszedłem do Dyrektora Dytko z hiobową wiadomością. Dyrektor natychmiast zadzwonił do żony tego pana i polecił zadzwonić po pogotowie. Pogotowie i żona tego pana przyjechali prawie jednocześnie. Lekarz chciał na miejscu zbadać delikwenta, ten jednak uznał, że to zbędne, bo on świetnie się czuje. Jego żona namawiała go, żeby się ubrał i jednak pojechał na badania. Gdy wreszcie się zgodził, okazało się, że nie rozpoznaje swoich rzeczy, a cudzych nie będzie nakładał itd.itd. Dowiedzieliśmy się później, że w drodze do pracy miał atak amnezji. Wyleczył się z tej przypadłości, ale później nas unikał. Innym smutnym przypadkiem była próba samobójcza koleżanki z mojego działu (Teresy). Jak się okazało, na tle zawodu miłosnego próbowała wyskoczyć z okna naszego biura (4 piętra) i koledzy w ostatniej chwili ją złapali i wciągnęli do pokoju. Inny kolega, którego nikt by o to nie posądzał, trafił do szpitala dla nerwowo chorych, bo nagle zamiast swoich dwóch ukochanych córeczek zobaczył dwa tygrysy (!).

W firmie tej zawodowo dorastałem i wiele się nauczyłem. Praca tam to był niewątpliwie szczęśliwy okres w moim życiu, choć na brak szczęścia nigdy nie narzekałem. Z kilkoma koleżankami do dzisiaj utrzymuję kontakt

### ***MIĘDZYNARODOWA KOMISJA NADZORU I KONTROLI W INDOCHINACH (ICC) (15.4.1964 – 26.3.1965)***

Ten roczny pobyt w Indochinach, w tym pobyt w Moskwie, Pekinie, a potem wycieczki do Laosu, Kambodży i Paryża opisuję szczegółowo we wspomnieniach pt. „Indochiny” i „Francja”.na stronie [www.mochowie.pl](http://www.mochowie.pl).

### ***CENTRALA HANDLU ZAGRANICZNEGO „ANIMEX” (1.9.68 – 31.1.73)***

Jak do Animexu trafiłem, pisałem już we wspomnieniu o p. Dytko w akapicie P.MD i ja.

Animex miał w owym czasie w Polsce monopol na eksport zwierząt i wyrobów pochodzenia zwierzęcego. Reklamą produktów Animexu zajmowałem się zresztą już w Agpolu.

Zaoferowano mi ciekawą pracę na rzecz reklamy tych produktów, których eksportem w owym czasie Polska się szczyciła, bezpośrednio u ich eksportera.

Zatrudnili mnie Dyrektor Naczelny, p. Dęborski i Dyrektor Biura Eksportu, p. Ślusarski, któremu bezpośrednio podlegałem. Jak już wspomniałem, zrobiłem na nich dobre wrażenie w czasie moich pobytów służbowych w Anglii z ramienia Agpolu w czasie, gdy tam pracowali: p. Ślusarski w BRH Ambasady Polskiej, a Dyr. Dęborski jako Dyrektor Naczelny Anglo-Dalu, który pełnił w Anglii funkcje agenta polskich central eksportujących tam artykuły spożywcze. Dlatego też Anglodal był w Anglii moim głównym partnerem w uzgadnianiu programów reklamy. Prowadziliśmy w krajach importujących polskie produkty reklamę szczególnie na rzecz wszelkich wyrobów mięsnych, w tym m.in. polskiej szynki eksportowanej na dużą skalę do różnych krajów (w tym USA) pod różnymi markami towarowymi, na rzecz eksportowanego przez nas drobiu i wyrobów z drobiu, przede wszystkim na rzecz polskich gęsi – w Niemczech przed Bożym narodzeniem oraz na rzecz polskich koni rasowych, szczególnie rasy arabskiej i wielkopolskiej. Kierowałem zespołem ok. 8 pracowników, choć w warunkach kapitalistycznych pracę tę wykonałoby 4-5 osób. No, ale w tzw. Polsce Ludowej kierowano się innymi kryteriami.

Moja lista wyjazdów zagranicznych (pod [www.mochowie.pl](http://www.mochowie.pl)) wykazuje, że moja praca w Animexie wiązała się z licznymi podróżami zagranicznymi (USA ( po drodze Rzym), RFN, Francja, Belgia, Szwecja, Dania, Austria, Szwajcaria , Anglia). Vide moje wspomnienia na stronie [www.mochowie.pl](http://www.mochowie.pl) pt. „Zapiski amerykańsko-kanadyjskie”, „Niemcy”, „Anglia”.

Mile wspominam moje animexowskie koleżanki i kolegów, w tym starszego kolegę – poznaniaka, p. Wituskiego z którym mieliśmy zawsze wiele tematów do rozmowy.

Oczywiście rok-rocznie kierowałem dużym stoiskiem Animexu na targach poznańskich.

Kiedyś, gdy występowaliśmy na piętrze pawilonu 12, mieliśmy tam w ramach stoiska dużą salę konferencyjną do rozmów z kontrahentami krajowymi i zagranicznymi, którzy tradycyjnie licznie przyjeżdżali na targi. W dniu otwarcia targów odwiedziła nas grupa „towarzyszy” – notabli ministerialnych i partyjnych, których zaprosiliśmy na tzw. poczęstunek. Poczęstunek był godny i zakrapiany. Nie zapomnę, jak najwyższy rangą gość pouczał nasze hostessy, jak nalewać whisky opowiadając przy tym o brytyjskich tradycjach w tym zakresie. Pozostali goście zachowywali się tak, jakby whisky pili po raz pierwszy w życiu ! Na targach tych przekonałem się przy okazji, jak ówczesna propaganda „antysyjonistyczna” oddziaływała na niektórych prostaczków: jeden z pracowników nazywał koleżankę z Agrosu „żydowicą”.

Pod koniec mojej pracy w Animexie nastąpiły tam zmiany na stanowiskach dyrektorskich.

Panowie Dęborski i Ślusarski wysłani zostali na placówki dyplomatyczne i zastąpili ich inni, z którymi nie pracowało mi się dobrze i zacząłem rozglądać się za inną pracą. Jak zwykle sprzyjało mi szczęście: mój kolega, były podwładny w Agpolu, który dobrze mnie wspominał, a w międzyczasie trafił jako organizator wystaw i targów za granicą do Przedsiębiorstwa Wystaw i Targów Zagranicznych „Polexpo” poinformował mnie, że mają tam wolny etat organizatora takich wystaw i targów i że przydałbym się im. Po rozmowie z dyrektorem przedsiębiorstwa i kierownikiem działu zaoferowano mi tę pracę.

### ***PRZEDSIĘBIORSTWO WYSTAW I TARGÓW ZAGRANICZNYCH (PWITZ) „POLEXPO” (1.02.1973 – 31.01.1976)***

Z działalnością targowo-wystawienniczą miałem już wcześniej wiele do czynienia, czy to dwukrotnie, jeszcze jako student w Poznaniu – jako kierownik hali na Targach Poznańskich (1956 i 1958), czy przy organizacji stoisk targowych z ramienia Agpolu, czy wreszcie jako organizator i kierownik stoisk targowych ze strony Animexu.



Praca w Polexpo była ciekawa, wiązała się z wieloma wyjazdami w świat (kilkakrotnie do NRD (Lipsk), do NRF (Hannover i Frankfurt/M.), Szwecja (Göteborg), Anglia (Glasgow), Włochy (2 x Mediolan), Syria (Damaszek), Irak (2 x Bagdad), Egipt (Kair), Chiny (Tientsin). Moje wrażenia z pobytów w tych krajach i na targach opisuję w moich wspomnieniach poświęconych większości w/w krajów.

Organizacja polskiego pawilonu na poszczególnych targach wiązała się przeważnie z wcześniejszym wyjazdem organizacyjnym. Tak było w przypadku MT Lipsk, MT Hannover, MT Mediolan, MT Damaszek i MT Bagdad.

Na organizowanych przeze mnie targach w czasie ich trwania pełniłem zawsze (z wyjątkiem Wystawy Osiągnięć Polskich w Tientsinie (Chiny) - gdzie byłem tylko organizatorem i wyjechałem z tamtąd jeszcze przed otwarciem imprezy - funkcję dyrektora polskiego pawilonu. Przyjmowałem oficjeli rządowych, organizowałem konferencje prasowe, organizowałem .tzw. akcje towarzyszące propagujące polski pawilon, np. konkursy za pośrednictwem prasy i potem uroczyste przekazywanie nagród. Poznawałem i uzgadniałem niektóre pociągnięcia z polskimi ambasadorami i radcami handlowymi, przyjaźniłem się z dyrektorami pawilonów innych krajów socjalistycznych i nawzajem zapraszaliśmy się na nasze przyjęcia, brałem udział w przyjęciach wydawanych przez dyrekcje targów i czasami w organizowanych przez nie wycieczkach turystycznych dla dyrektorów narodowych pawilonów (np. w Syrii), no i w miarę możliwości starałem się zwiedzać miasta wystawowe i kraje. Wychodziłem z założenia, że być może jestem tu pierwszy i ostatni raz w życiu i że powinienem „zaliczyć” tak dużo, jak tylko możliwe. „Zaliczałem” więc przede wszystkim muzea i słynne obiekty, a także historii i kultury danego miasta i kraju. Więcej szczegółów zawarłem we wspomnieniach z pobytów w poszczególnych krajach, np. we wspomnieniach z krajów arabskich pt. „Moja przygoda z Orientem”, „Niemcy”, czy „Indochiny”.

Negatywną stroną tej pracy były machlojki, które były nie do uniknięcia, jeśli chciało się być akceptowanym przez innych kolegów i w ogóle pracować w tej firmie. Przykład takiej machlojki (przewał) opisuję we wspomnieniach z Egiptu. Nie chcąc prędzej czy później trafić do więzienia po pięciu latach zrezygnowałem z pracy w Polexpo, choć była to praca, za którą w owych czasach nie tylko nie pobierano by pensji, to jeszcze by dopłacano !

Tak jak wcześniej, tak i tym razem miałem szczęście: z ogłoszenia prasowego, bez jakichkolwiek protekcji, dostałem pracę handlowca w Biurze Radcy Handlowego Ambasady Kanady w Warszawie.

### ***Biuro Radcy Handlowego Ambasady Kanady w Warszawie***

Po przeprowadzeniu ze mną przez Radcę Handlowego, p. Garretta Lambert`a wywiadu, ze względu na moje wszechstronne doświadczenie reklamowe i w zakresie organizacji wystaw i targów, a przy tym znajomość angielskiego i niemieckiego (bo ambasada kanadyjska w Polsce obejmowała także terytorium NRD) przyjęty zostałem do pracy w tej placówce w charakterze pracownika handlowego (commercial officer), którego zadaniem było wprowadzanie do Polski i NRD businessu kanadyjskiego. Zastąpiłem innego Polaka, który oddelegowany został na 2 lata do Kanady, do Vancouver, w związku z budową przez firmy kanadyjskie wielkiej papierni w Kwidzynie.

Garrettowi Lambertowi wiele zawdzięczam: ciekawą pracę w ekskluzywnych warunkach, jak na polskie warunki i nie da się ukryć, że w owych czasach warunki pracy w ambasadzie kanadyjskiej były niezwykle atrakcyjne tak finansowo, jak i prestiżowo. Finansowo – bo pensja moja wynosiła ok. 660 US\$ miesięcznie, w tym 570 \$ płatne w złotych po kursie oficjalnym 21 zł/1\$ = 12.000 zł plus 97 \$ w walucie obcej. Te 97 \$ odkładane było do mojej dyspozycji i nagromadzoną kwotą mogłem odebrać gdziekolwiek za granicą. W owych czasach przeciętna pensja kształtowała się w Polsce na poziomie ok.3000 zł = ok 150 \$ po kursie oficjalnym lub ok.40 \$ po kursie czarnorynkowym. Moja pensja była

więc bardzo wysoka, znacznie przekraczająca pensję polskiego dyrektora wielkiej firmy. Do tego dochodziły inne benefity:

- kilometrą z tytułu przejazdów służbowych moim prywatnym samochodem – 0,31 US\$/km (np. jazda do Poznania i z powrotem – ok. 600 km = ok. 200 \$ przy moim koszcie benzyny ok. 1000 zł = ok. 15 \$ po kursie czarnorynkowym ! Już nawet nie wspominam kwot, które wchodziły w rachubę przy jeździe np. na targi w Lipsku !)
- moje złotowe diety w czasie wyjazdów z W-wy płatne w \$ po kursie oficjalnym
- wszystkie moje koszty złotowe, np. hotelowe – refundowane w \$ po kursie oficjalnym
- w czasie służbowych pobytów za granicą, np. w NRD czy Kanadzie, moja dieta wynosiła 31 \$ dziennie !

Były to więc warunki ekskluzywne z tym, że w owym czasie byłem już „przyzwyczajony” do raczej atrakcyjnych warunków pracy i trochę się szanowałem.

Abstrahując od aspektu finansowego pracy w ambasadzie, praca tam „za czasów” Garretta była po prostu przyjemnością. Polski personel, przeważnie żeński (za wyjątkiem kierowców) brał czynny udział we wszystkich uroczystościach ambasadzkich czy w BRH: a to w przyjęciach, latem czasami w formie garden party, z okazji urodzin i świąt narodowych oraz w uroczystych balach noworocznych. W imprezach takich zawsze towarzyszyła mi żona. Do tego dochodziły przyjęcia wydawane przez kanadyjskich partnerów handlowych, wyjazdy służbowe w teren: na Śląsk, do Poznania, Białowieży, no i do NRD: do Berlina i Lipska. Wyjazdy te odbywały się moim samochodem (Fiat 125) i jak już wspomniałem, były finansowo bardzo atrakcyjne.

Więcej szczegółów dotyczących pracy w Ambasadzie Kanady i ze związanego z nią miesięcznego pobytu w Kanadzie (a potem drugiego – prywatnego z żoną) czytelnik znajdzie na internetowej stronie rodzinnej [www.mochowie.pl](http://www.mochowie.pl) pod „Zapiski nowojorskie i kanadyjskie”.

*Dygresja:*

Przyjmując mnie do pracy, Garrett zauważył, że przypuszczalnie będę miał do czynienia z polskimi służbami bezpieczeństwa. Powiedział, że będę miał do czynienia tylko ze sprawami jawnymi i że w Ambasadzie, na parterze, gdzie pracowaliśmy wszystko jest jawne, zaś tajne jest tylko piętro, gdzie znajdowały się pomieszczenia Ambasadora i innych radców ambasady. Faktem jest, że w czasie prawie pięciu lat pracy w ambasadzie nigdy nie byłem na piętrze !

Przez wiele lat pracy w resorcie handlu zagranicznego miałem absolutnie święty spokój ze strony polskiej służby bezpieczeństwa (SB), a przecież pracowałem na kierowniczych stanowiskach w centralach handlu zagranicznego, wielokrotnie wyjeżdżałem na zachód, w tym do USA, Wietnamu itp. Z SB stykałem się tylko w sposób pośredni – z jego niskiego lotu i nadgorliwymi sługami: w Wietnamie i w RFN, o czym piszę we wspomnieniach z tych krajów..

Wprawdzie w Animexie, za wiedzą Dyrektora odwiedzali mnie i kolegę, z którym jako kierownicy działów dzieliliśmy wspólny pokój, panowie SB-cy pytając, czy działło się coś, o czym powinni wiedzieć, a po informacji, że nic takiego się nie działo, odchodzili. Tego typu „współpraca” obowiązywała chyba wszystkich kierowników działów, bo zetknąłem się z nią później także w innych przedsiębiorstwach. Pan SB-k przychodził, grzecznie się przedstawiał i pytał, czy działło się coś, o czym powinien wiedzieć, a gdy się dowiadywał, że nie, po wymianie grzeczności „wybywał”.

Po kilku miesiącach pracy w ambasadzie zjawił się u mnie w domu młody człowiek, przedstawił się jako pracownik służby bezpieczeństwa i w celu przeprowadzenia rozmowy zaprosił mnie do restauracji.

Przeczuwałem, co mnie czeka, ale miałem już 40 lat, a więc nie byłem już niedoświadczonym młokosem. Postanowiłem rozegrać sprawę na moich warunkach. Młody SB-ek próbował mnie sobie bezwzględnie podporządkować strasząc, że jeśli nie będę z nim współpracować, to MSW wycofa w Urzędzie Zatrudnienia swoje poparcie dla mnie, jako pracownika ambasady Kanady i stracę tę pracę. Był przy tym wręcz obcesowy i zdałem sobie sprawę, że z takim człowiekiem nie będę mógł współpracować i że albo coś się zmieni, albo faktycznie będę musiał z ambasady odejść.

Po spotkaniu z młodym SB-kiem napisałem zażalenie adresowane do „Dyrektora Gabinetu Ministra Spraw Wewnętrznych”, w którym wyzaliłem się na sposób, w jaki młody SB-ek próbował mnie zwerbować, podkreślając, że jako Polak uważam za swój naturalny obowiązek informowanie władz o ewentualnych aktach zagrażających interesom naszego kraju, ale nie mogę się zgodzić na szantażowanie mnie przez nadgorliwego pracownika SB.

Bardzo szybko zadzwonił do mnie rzekomo dyrektor gabinetu ministra MSW zapraszając na rozmowę – oczywiście znów do restauracji, na co ja zareagowałem zaproszeniem go do mnie do domu.

Przyszło dwóch panów, w tym jeden podobno dyrektor gabinetu ministra, czego nie sprawdzałem. Rozmowa odbyła się przy kawie i lampkach koniaku z mojego baru. Pan dyrektor (?) wykazał zrozumienie dla moich obiekcji twierdząc, że nie zdawano sobie sprawy, jaką reprezentuje klasę i że chętnie przydzielili mi do współpracy doświadczonego i kulturalnego pana, który mu towarzyszył, zaznaczając mimochodem, że jako polski pracownik ambasady kraju NATO muszą współpracować z SB. Nie musiałem podpisywać żadnego zobowiązania czy umowy, nie przydzielono mi też żadnego pseudonimu.

Mój nowy partner był faktycznie człowiekiem na poziomie. Był w moim wieku, niejedno przeżył i prywatnie świetnie się rozumieliśmy. Spotkania, z początkiem mniej więcej raz na miesiąc, odbywały się coraz rzadziej. Ze strony SB - mój partner zawsze z osobą towarzyszącą. Jak zwykle odbywały się w jakimś lokalu, przeważnie w kawiarni. Już na pierwszym spotkaniu zazaczyłem, że panowie są moimi gośćmi i że ja będę pokrywał koszty. Na tej zasadzie odbywały się wszystkie spotkania. Zapewniało mi to pewien komfort psychiczny. Nigdy w czasie pracy w ambasadzie nie składałem jakichś oświadczeń, czy raportów na piśmie.

Ponieważ z mojej strony panowie SB-cy niewiele mogli się dowiedzieć, no bo autentycznie nie działało się w ambasadzie nic godnego uwagi naszych służb bezpieczeństwa, ale o czymś trzeba było przecież rozmawiać, moi partnerzy dawali mi więc przykłady swoich osiągnięć, m.in. w związku z ambasadą. Dowiedziałem się więc o treści niektórych rozmów prowadzonych telefonicznie przez Ambasadora – tzn. że безпеca miała podsłuch w gabinecie ambasadora. Wkrótce domyśliłem się, jak ten podsłuch został założony.

Otóż portierami w Ambasadzie, zwanymi guards (strażnikami) byli zawsze starsi panowie – byli podoficerowie - weterani armii kanadyjskiej (portierzy – podoficerowie - weterani armii, to stara brytyjska tradycja). Przeważnie pracują w swoich mundurach. Początkowo dziwiłem się, gdy np. w Londynie, w Anglo-Dalu, w holu budynku witał mnie starszy portier - podoficer w nienagannie na nim leżącym mundurze z medalami i różnymi odznakami. Pamiętam przynajmniej dwóch portierów ambasady, w tym jednego rzeczywiście starszego pana, z którym chyba z dwa razy uciąłem sobie miłą pogawędkę. Wynikało z nich, że służył w armii w wielu krajach, m.in. w Indiach i że pochodzi z Victorii na wyspie Vancouver – stolicy Kolumbii Brytyjskiej. Miasto to już znałem i bardzo mi się podobało, było więc o czym porozmawiać.

Kiedyś portier ten zniknął. Podobno wrócił do Kanady. Jakoś w tym samym czasie zniknęła jedna z dwóch polskich sprzątaczek pracujących w ambasadzie i zjawiała się nowa. Dla mnie nie było w tym nic dziwnego. Ot odeszli i przyszli nowi.

Mój „kolega” z SB pochwalił mi się jednak szczegółami akcji SB, w wyniku której obydwie te osoby w trybie natychmiastowym musiały odejść z ambasady. Otóż sprzątaczkami były już nie najmłodsze, ale nadal ponętne osobki. Gdy jedna z nich sprzątała piętro – teren tajny – a działo się to zawsze we wczesnych godzinach rannych, gdy nie było jeszcze ambasadora i nikogo z pracowników ambasady - zawsze towarzyszył jej strażnik – mój sympatyczny starszy rozmówca. Okazało się, że ten starszy już pan miał starszą, niepełnosprawną żonę z której jako mężczyzna niewiele miał „pociechy”. Wykorzystała to SB nakłaniając jedną ze sprzątaczek do seksualnego prowokowania strażnika. Udało się ! Tak gabinet ambasadora stał się gniazdkiem miłości tych dwojga. Po pewnym czasie pani sprząteczka stwierdziła, że seks w gabinecie ambasadora ją krępuje, że nie może się skoncentrować i zaproponowała, żeby spotykali się u niej w domu, w czasie nieobecności jej męża. No i biedny strażnik zasmakowawszy tej pani zgodził się. O umówionej porze zjawiał się u niej w domu, jednak w czasie miłości, ktoś zaczął coraz bardziej natarczywie pukać do drzwi, a potem wołać, że to mąż ! Nie było wyjścia. Trzeba było otworzyć. Okazało się, że mąż nie był sam, tylko z pracownikiem SB, no i wzięli biednego strażnika „w obroty”. Za chwilę pokazali mu aparaturę, za pomocą której z zaściany sfilmowali zdradę małżeńską Kanadyjczyka i stwierdzili, że albo pełna współpraca, albo film pokażą w ambasadzie. Cóż biedak miał robić. Zgodził się na wszystko, ale był na tyle mądry, że jak go wypuścili, natychmiast udał się do ambasadora i o wszystkim go powiadomił, ten zaś zaraz następnego dnia odesłał go z żoną samolotem do Kanady. Tak biedak zakończył swoją „karierę”. Było mi go bardzo żal.

Pani sprząteczka została zwolniona z pracy w trybie natychmiastowym. Nie było mi jej żal. Takim paniom z zasady nie działa się krzywda. Przeważnie za swoje zasługi wysyłane były na placówki za granicą, gdzie w naszych placówkach dyplomatycznych lub przedstawicielstwach handlowych dużych polskich firm także potrzebne były sprzątaczk.

Przypadek ten nasunął mi też refleksję, jak wredną jest praca w służbach bezpieczeństwa, na całym zresztą świecie, polegająca m.in. na wykorzystywaniu ludzkich słabości, na łamaniu i zezmacaniu ludzi, jakże często bez żadnego pożytku dla „sprawy”!

Pracownicy naszych służb bezpieczeństwa w dużej mierze byli ludźmi prymitywnymi. Jak inaczej określić ludzi, którzy pod nieobecność Kanadyjczyków, a przypadek taki mi opisano, dokonują w domu rewizję, a potem z lady chłodniczej, która stała w każdym domu kanadyjskim, żeby uniezależnić się od ciągłych braków na polskim rynku, wyjmują wszystkie zamrożone produkty i układają je na podłodze ? Chamstwo? Proletariacka zawiść ? Głupota ? Niewątpliwie wszystko razem. Jednemu z Kanadyjczyków ukradziono przy okazji zbiór znaczków.

Kiedyś mój „kolega” z SB zwrócił się do mnie z prośbą, żebym mu pożyczył na miesiąc, o ile sobie przypominam – 180 DM. Oczywiście pożyczyłem mu tę sumę. Gdy minęły 2 m-ce, a nie było spotkań, bo te odbywały się już bardzo rzadko, a pieniądze nie wracały, zacząłem podejrzewać, czy to nie ma być zapłata za moją bardzo „ulgową” służbę na rzecz SB. Zadzwoiłem więc na telefon domowy mojego „kolegi” i grzecznie przypomniałem mu o długu. Bardzo mnie przeproszał i pieniądze zwrócił co do grosza.

Kiedyś nadarzyła się okazja zrobienia mojemu „koledze” przyjemności i dania mu satysfakcji zawodowej. Otóż w skrzynce korespondencji przeznaczonej do wpięcia do akt, od kilku dni leżało opracowane na piętrze roczne sprawozdanie naszej ambasady dla władz w Kanadzie na temat sytuacji polityczno-gospodarczej NRD. Zastanawiałem się, dlaczego to sprawozdanie trafiło na parter – do Biura Rady Handlowego i dlaczego tak długo nikt nie

wpina go do akt. Doszedłem do jednoznacznego wniosku, że Kanadyjczycy chcą, żeby to sprawozdanie trafiło do Niemców – NRD-owców. Postanowiłem im w tym pomóc i przy okazji sprawić frajdę mojemu „koledze”, co mi się w 100% udało. Sprawozdanie zostało zkszerowane w specjalnym samochodzie. Cała akcja trwała może godzinę. „Kolega” był mi niezmiernie wdzięczny, zaś po jakimś czasie powiadomił mnie, że towarzysze z NRD przesłali jego Wydziałowi podziękowanie za ten materiał.

W czasie całokształtu moich kontaktów z SB, był to z mojej strony **jedyny** akt przekazania tym służbom jakiegoś materiału ! W dodatku nie dotyczył on Polski, a NRD.

W Ambasadzie nastąpiła zmiana na stanowisku Radcy Handlowego. Garrett Lambert odszedł do centrali w Ottawie w aureoli człowieka sukcesu, bo dzięki jego dobrym kontaktom z naszymi notablami, m.in. z min leśnictwa, p.Kamińskim, w oparciu o kanadyjską technologię i kanadyjskie kredyty zbudowano wielką papiernię w Kwidzynie. Na jego miejsce przyszedł niejaki pan Tourcotte, który koniecznie chciał osiągnąć podobny sukces, nie miał jednak w sobie tyle osobistego uroku i tyle inteligencji, co Lambert. Nie wchodząc w szczegóły, po prostu źle mi się z nim współpracowało i kiedyś, w lipcu 1980 r. złożyłem wypowiedzenie. Rozstanie z ambasadą odbyło się w sposób godny, wypłacono mi wszystko, co mi się należało i zacząłem się rozglądać za nową pracą. Przyzwyczajony byłem do tego, że wszędzie mnie przyjmowano z otwartymi rękami. Tym razem jednak było inaczej. Dawano mi odczuć mój wiek – już 45 lat ! W październiku dowiedziałem się, że Radca Tourcotte musiał opuścić placówkę w trybie pilnym. Nie znałem szczegółów, ale żałowałem, że pośpieszyłem się z tym wypowiedzeniem. Ponieważ jako urzędnika, zgodnie z prawem kanadyjskim, można by mnie zwolnić z pracy tylko w wyniku jakiegoś drastycznego naruszenia przeze mnie przepisów, teoretycznie biorąc mógłbym w ambasadzie pracować aż do emerytury ! Ale wszystko ma swoje dobre i złe strony. Wprawdzie przez pół roku nie pracowałem, ale potem życie ułożyło mi się bardzo szczęśliwie. Kto wie, jak by ono wyglądało, gdybym kontynuował pracę w ambasadzie ? Jak bardzo pewne decyzje rzutują na całe życie człowieka !

Nastąpiła era „Solidarności”, kryzys gospodarczy i ucieczka ludzi za granicę. Mojej córce, Dorocie załatwiłem na okres wakacji, zresztą już drugi raz, trzymiesięczny pobyt w Kanadzie u moich znajomych w Toronto w charakterze baby-sitterki (au-paire). Kupiłem jej tani bilet lotniczy w systemie APEX, ale jakoś przez dwa miesiące nie wydawano jej paszportu, a tu termin wylotu zbliżał się, a gdyby nie poleciała stracilibyśmy wpłacone za bilet pieniądze.

Przypomniałem sobie o moim „koledze”, z którym już od wielu miesięcy nie miałem żadnego kontaktu. Zadzwoiłem do niego do domu i przedstawiłem mu nasz problem. Obiecał pomoc i faktycznie – zadziałało. Żeby mu podziękować, umówiłem się z nim w kawiarni i porozmawialiśmy sobie o sytuacji. Przy okazji poinformował mnie z własnej inicjatywy, że polecił zniszczyć moje akta. Dowiedziałem się też jeszcze jednej ciekawej rzeczy: okoliczności, w jakich pan Tourcotte musiał w ciągu tygodnia opuścić Polskę.

Otóż Ambasada Kanady stoi jakby na skwerze przy ulicy pomiędzy ambasadą USA w Alejach Ujazdowskich a budynkiem Sejmu. Kiedyś, p.Tourcotte jadąc samochodem ulicą Piękną został zatrzymany przez milicję, gdyż od strony Sejmu, z ul. Wiejskiej w Piękną skręcała kawalkada samochodów jakiejś północno-koreańskiej delegacji. Przed stojącym na biegu samochodem Tourcotte’a stanął milicjant. Nie wiadomo, co się stało, ale Tourcotte nagle ruszył na milicjanta i przewrócił go. Do Tourcotte’a doskoczyli inni milicjanci, wyrwali mu klucze, ten zaś cały czas krzychał: ja dyplomata, ja dyplomata. Oczywiście puścili go, ale MSZ wystąpił z notą do Ambasady Kanady żądającą opuszczenia przez p.Tourcotte’a Polski w terminie tygodnia.

P.Tourcotte był dla mnie człowiekiem trochę nie zrównoważonym. Miał też tendencje do naruszania przepisów drogowych. Ratował się wówczas swoim: „ja dyplomata, ja dyplomata!” i uchodziło mu to płazem. Tym razem przyszła „kryśka na Matyska”.

Na ambasadzie Kanady skończyła się jedna droga kariery i zaczęła droga już zupełnie innej „kariery” zawodowej.

Jak już wspominałem, po odejściu z ambasady przez ok. pół roku szukałem pracy, która by mi odpowiadała, ale nic z tego nie wychodziło. Miałem znaczne oszczędności po pracy w ambasadzie, ale i świadomość, że wszystko ma swój kres i że trzeba pracować!

Dogadałem się z byłymi kolegami z „Agpolu”, który w międzyczasie podzielił się na dwa oddzielne przedsiębiorstwa: Agpol-Reklama i Agpol-Wydawnictwa Handlu Zagranicznego. Przyjęto mnie do pracy w Agpolu-Reklamie z siedzibą w wieżowcu przy ul. Stawki. Ponieważ w międzyczasie Agpol uzyskał uprawnienia do organizacji wystaw reklamowych, ze względu na moje doświadczenie w organizacji wystaw i targów, zatrudniono mnie w charakterze st.rzeczoznawcy - organizatora wystaw (a więc pracownika szeregowego) w dziale organizującym takie imprezy.

Pierwszą imprezą, którą organizowałem była w kwietniu 1981 r. „Interhuta”. – wystawa niemieckich producentów sprzętu hutniczego w Katowicach, którą Agpol organizował we współpracy z analogiczną firmą niemiecką.

W Katowicach bywałem w życiu wielokrotnie: w 1946 r. – gdy mieszkaliśmy w Gdyni - z Mamą na wycieczce po południowej Polsce. Pamiętam, że byliśmy u podnóża „drapacza chmur” – drugiego po Warszawie najwyższego budynku w Polsce. Potem bywałem w Katowicach służbowo: z ramienia Agpolu, Polexpo, wielokrotnie z ramienia Ambasady Kanady. Katowice były dla mnie miastem ponurym, brudnym, zadymionym, bo w owych czasach górnictwo i przemysł kwitły w tym mieście i na Górnym Śląsku. Okolice miasta były pełne wysokich hałd kamienia po-kopalnianego i żużłu hutniczego, który palił się jeszcze na hałdach, pełno tam było dymu i charakterystycznego zapachu (raczej smrodu). Dzięki pracy w Ambasadzie zwiedziłem z Kanadyjczykami, którym towarzyszyłem, większość czołowych zakładów przemysłowych Katowic i regionu, a więc np. Hutę Katowice w Dąbrowie Górniczej, Hutę Baildon, Hutę Zygmunt i inne, których nazw już nie pamiętam.

Pamiętam jednak, że gdy przejeżdżałem przez Górny Śląsk myślałem sobie, że za żadne skarby nie chciałbym tu żyć. Jakby nie było, mieszkalem już ponad 20 lat w Warszawie, gdzie ze względu na moją specjalizację, pomimo mojego już zaawansowanego wieku miałem optymalne warunki dla znalezienia odpowiedniej pracy. W Warszawie miałem wielu znajomych, nadal duże szanse zawodowe i czułem się tam dobrze. Ale, choć nie chcę się powtarzać – czasami życie sprawia człowiekowi figle i mnie to także się przytrafiło.

Kobietka, w której się nieprzytomnie zakochałem i filatelistyka (Sic !!! - vide moje wspomnienia pt. Moje Hobby) sprawiły, że od kwietnia 1982 r. żyję właśnie w Katowicach i bardzo to sobie chwalebę!

## Praca na Górnym Śląsku

Zakład pracy	ostatnie stanowisko	od dnia	do dnia
Izokor-Instal, Dąbrowa Górnicza	Kier.Działu Eksportu	1.7.82	31.8.84
Prodryn, Ruda Śl.	Gł.Specj.ds. Eksportu	3.9.84	23.10.84
Katowickie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego	Gł.Specj.-Kier.Działu Eksportu	25.10.84	31.3.88
Energopol, Czeladź	Z-ca Dyr.Biura Handlu Zagan.	25.4.88	31.12.88
Wodpol, Katowice	Pełnomocnik Dyrektora ds. Eksportu	2.1.89	15.8.90

Prefabrykat, K-ce	„ „ ds.Handlowych	16.8.90	9.3.92
Profit, K-ce	Dyrektor ds. Eksportu	10.3.92	31.1.94
Darex, K-ce	Dyrektor Handlowy	1.2.94	30.11.97
Emerytura			
Trans-Marian-Express,Sosnowiec	Spedytor	1.5.98	30.6.98